

Rozdział XXVII

Mecenas Culmer miał na obiedzie córkę i syna, który przed tygodniem przyjechał z Anglii. Obiad odbywał się w atmosferze grobowej. Jakub po zetknięciu z brązowym sfinksem chodził z obandażowaną głową, uważał się za inwalidę i nie usługiwał. Do stołu podwala pokojówka, a przy niej można było mówić tylko o rzeczach obojętnych. Że zaś do rzeczy obojętnych nikt z trojga nie miał serca, więc prawie przez cały czas panowało przy stole ponure milczenie.

Dopiero gdy pokojówka podała im czarną kawę w gabinecie pana domu i odeszła, Culmer zwrócił się z sarkazmem do córki.

- Będiesz miała teraz brylanty... Podziękuj temu idiocie; który po wagonach głośno krzyczy o swoich interesach.

Charles uważał za stosowne zrobić obrażoną minę.

- Kto mógł wiedzieć, że ten łajdak rozumie po polsku! On wcale na to nie wyglądał.

- Tak... Co to obchodzi kogo, czy wyglądał, czy nie wyglądał... Tylko niepoczytalny głupiec głośno o takich rzeczach mówi. Z ciebie nigdy nie będzie człowiek do poważnych interesów. Ty zawsze będziesz zwyczajny łobuz.

Charles tak się obraził, że zamilkł.

- No, jakże będzie z tymi pieniędzmi? - zapytał Culmer.

- Z jakimi pieniędzmi? - zapytał Charles z flegmą angielską.

- Co ty udajesz, że nie wiesz, o co chodzi! Musisz mi oddać tę prowizję, którą wzięłeś od Stuarta. To są moje pieniądze i ja je teraz mieć muszę.

- Ja teraz nic dać nie mogę. Przecież nie będę siedział w tej głupiej Polsce. Wyjadę zaraz w tych dniach. Muszę zacząć jakiś większy interes i będę potrzebował pieniędzy.

- Gdzie interes? W Anglii?...

- Nie, tam tymczasem nie można. W Ameryce.

- Tam cię nie wpuszczą.

- Czy ja jestem polski chłop, żeby mnie nie wpuścili?.. Za trzy tygodnie będziesz miał ode mnie list z New Yorku.

- Słuchaj, Karol - wtrąciła się pani Brzozowska - ty nie możesz zabrać tych całych pieniędzy. Ty okradasz nie tylko tatę, ale i mnie. Tata tylko w ciebie pakuje.

Rozmowa rozwinęła się w kłótnię.

Skończyło się na tym, że Charles, trzymając się mocno zasady *beati possidentes*,

nie oddał ani grosza. Zajął stanowisko jedynej ofiary w całej katastrofie. Zbychów przecie był kupiony dla niego, a teraz tata go oddał. Zresztą wszyscy troje wiedzieli, że Culmer zrujnowany nie był, choć operacja ze Zbychowem dużo mu krwi upuściła.

Gorszym od straty pieniężnej było dla Culmera poczucie, że istnieje człowiek, który go trzyma w reku i w każdej chwili może zniszczyć jego pozycję. Dopóki ten człowiek żyje, dopóty nad głową jego, Culmera, wisi miecz Damoklesa. Ten zaś człowiek jest zbyt przebiegły, zbyt ostrożny, ażeby łatwą rzeczą było usunięcie go ze świata. W tej chwili, upojony zwycięstwem, może nic nie będzie przedsięwziął. Zresztą ma narzeczoną, a u nich to bardzo ludzi absorbuje. Jednakże za pierwszym lepszym powodem może znów zacząć walkę... Gdyby jeszcze był goły, byłby jak pies bez zębów. Ale ten łajdak zataił, że ma pieniądze... Teraz łatwiej zrozumieć wszystko: i te napaści w gazetach, i tę zorganizowaną robotę przeciw grabarzom. i te

fotografowane listy Karolka... Z pieniędzmi wszystko można zrobić. I bogatego człowieka trudniej usunąć: jeździ własnym samochodem, ma straż koło siebie...

Odprawiwszy syna i córkę, mecenas zaczął się zastanawiać nad swoim nieszczęściem. O mało nie zaczął płakać nad sobą. Nigdy nie wiedział, co to jest zmęczenie - dziś czuł się naprawdę zmęczony; nic mu się nie chciało robić.

Dni upływały, a on nic nie przedsięwziął, nie czytał nawet gazet, obrzydło mu życie i wiadomości o nim. Tylko od czasu do czasu Jakub komunikował mu, że coś ważnego się stało...

Świat, w którym miał pozycję, wiedział tylko, że pan mecenas Culmer jest chory. Spędzał czas samotnie. Syn wyjechał za granicę. Córka się nie odzywała.

Twardowski w towarzystwie Grzegorza i Pioruna pojechał do Turowa. Trzeba było obejrzeć roboty wykonywane przez sprowadzonych z Warszawy rzemieślników, i sprawdzić, czy dom jest przygotowany na przyjęcie gości.

Zaczęła się już polska wiosna, której od lat dziecięcych nie widział. Trawniki dookoła domu były zielone świeżą, soczystą zielonością; wczesne krzewy i niektóre drzewa już kwitły: przeważało młode naiwne kwiecie różowe. Pod krzewami żółciły się gdzieś niegdzie kępy żonkilów, przypominając żółte na łąkach kaczeńce, z których barwą łączyło się w jego wspomnieniach pojęcie polskiej wiosny. Rabaty i klomby były przygotowane do sadzenia kwiatów, a w wygrabionym z liści parku rozlegał się koncert wszelkiego rodzaju ptactwa. W powietrzu unosił się zapach fermentującej ziemi...

Nie wszedł do domu; zapuścił się w głąb parku. Usiadł na ławce, opanowało go bezgraniczne lenistwo. Jak tu rozkosznie!... Spojrzał na ławkę obok siebie: dlaczego tu nie ma Wandeczki?.. Przecież i ona jest wiosną...

Przypomniał sobie, że trzeba i dla niej dom przygotować. Poszedł oglądać roboty w domu.

Pokoje na górze były na wykończeniu. Pokój dla pani Czarnkowskiej. buduar, pokój dla Wandy. Garderoba, łazienka i izdebka pokojówki; lekkie mebelki, ładne dywany, firanki - wszystko jak należy. Na dzień ich przyjazdu powstawią się w wazonach kwiaty...

Poza wielkim salonem, którego tymczasem nie miał zamiaru meblować. W całym domu porządki wiosenne były zrobione. Tylko w bibliotece stopy książek i papierów. zniesionych z góry, leżały jak je zostawił, wyjeżdżając do Warszawy. Te postanowił uporządkować i rozmieścić w szafach i na półkach, zanim panie przyjadą. Tą robotą zajął się od razu, mając parę godzin wolnych przed obiadem.

Wieczór robił się chłodny, ale Grzegorz pomyślał o roznieceniu niewielkiego ognia w kominku biblioteki. Przed tym kominkiem, jak zwykle, podał po obiedzie czarna kawę.

Twardowski znów siedział, wpatrzony w ogień. Jaka tu cisza!... Jak tu można wejść w siebie i zapomnieć o świecie...

Zapomnieć?... Nie. Walka, której jeden akt dopiero co się rozegrał, będzie trwała dalej i wyjść z niej nie wolno, dopóki się nie skończy zwycięstwem. A jeżeli się skończy, to zacznie się inna. A Wanda?.. I bez niej już trudno sobie wyobrazić życie. Nigdy nie przypuszczał, że kobieta może zająć tyle miejsca. Ale ona ma miejsce swoje: życie to za wielka rzecz, żeby najwięcej ukochana, najbardziej pożądana kobieta mogła je całe wyczerpać...

Grzegorz wpuścił psa, który się ułożył u stóp pana, a wkrótce potem przyniósł herbatę.

Ogień się dopalał, z rozżarzonych węgli płynęła rozleniwiająca fala ciepła. W tym ciepłe myśli traciła energię, stopniowo się zatracala... Odpoczywający po Warszawie dziedzic Turowa drzemał.

Ocknął się. Ktoś chodził po pokoju. Znów te same miarowe kroki tam i z powrotem, tam i z powrotem...

Opanowało go przygnębienie. Zaczął wyrzucać sobie, że buduje szczęście w tym domu klęski, że oczekuje ukochanej kobiety tu, gdzie on rozpacział po stracie swojej. Przypomniał sobie panią Czarnkowska. Przecież to ona pierwsza wyraziła chęć przyjazdu do Turowa...

- Przyjeżdża do ciebie jako pokutnica - zaczął mówić - prosić o przebaczenie. Czy jej przebaczysz?...

Potał ręką po czole.

- Znów rozmawiam ze zmarłymi. Tradycja starych wierzeń jest chwilami silniejsza od rozumu.

Wstał i zadzwonił na Grzegorza. Gdy ten przyszedł, zapytał go:

- Czy słyszałeś kiedyś w tym pokoju kroki, jakby ktoś po nim chodził tam i z powrotem?...

Twarz służącego miała wyraz religijnej powagi.

- Pan słyszał?...

- Przed chwilą.

- To kroki nieboszczyka pana. On za życia tak samo chodził. Zaraz pierwszego wieczoru po wyniesieniu ciała do kościoła przyszedłem tu i słyszałem, jak pan dalej chodzi po swej bibliotece...

- Cóż ty o tym myślisz?

- Cóż tu myśleć?... Widać, dusza jego nie ma spokoju...

Twardowski nie czuł się na silach do dyskusji z prostym człowiekiem. Nie miał dla niego argumentów.

- My sami - pomyślał - skłonni jesteśmy uważać za nadprzyrodzone zjawiska, których nie umieliśmy dotychczas zbadać i wytłumaczyć.

Poszedł na górę poczytać jeszcze, po czym położył się do łóżka. Piorun zajął swoje miejsce.

Rano, po pierwszym śniadaniu, zabrał się do papierów stryja i w porządku rozmieszczał je w szafach. Przerwał mu tę pracę Grzegorz, który wszedł trochę za energicznie jak na służącego i stanął przed nim, czekając na pozwolenie zabrania głosu.

- Czego sobie życzysz? - zapytał Twardowski.

- Proszę pana, przyszedłem się spytać, jak to będzie z tym Kulmerem.

Ton jego był tak stanowczy, jakby przemawia z rozkazu władzy wyższej, niż obecny właściciel Turowa.

Zdziwiony Twardowski bacznie na niego spojrział. Przy innym przedmiocie nie zniósłby tego tonu. Ale tu widział, że przez usta służącego przemawia tylko gorące przywiązanie do pamięci stryja. Odpowiedział łagodnie:

- Myślę, że z nim nie będziemy mieli kłopotu. Po tym, co zrobiłem, dla niego nie ma miejsca w Warszawie. Będzie musiał gdzieś wyjechać.

- Rozumiem.

Wykonał zwrot prawie żołnierski i wyszedł.

Przy śniadaniu Grzegorz, zazwyczaj rozmowny i przyjacielski, zachowywał się sztywno, jak najbardziej stylowy luzacy wielkiego domu.

Po południu, gdy Twardowski znów był zajęty w bibliotece, Grzegorz znów wszedł.

- Co się stało? - zapytał Twardowski.

Służący miał minę trochę zakłopotaną.

- Przyszedłem z pokorną prośbą.

- Czego chcesz?

- Zwolnić się od służby.

Twardowski szeroko otworzył oczy.

- Już teraz jestem panu niepotrzebny. Z Kulmerem już skończone, w domu porządek zrobiony, wszystko na przyjęcie pan przygotowane. Antoni to bardzo dobry służący i pewny człowiek, a jakby pan sobie życzył, to mam dla niego pomocnika: mój rodzony siostrzeniec, uczciwy i zdolny chłopak. A ja, proszę pana, mam żonę i dzieci, mam grunt, co go dostałem od nieboszczyka pana, postawiłem sobie w zeszłym roku domek. Chciałbym w nim zamieszkać, zająć się gospodarstwem i dziećmi, żeby wyrosły na ludzi.

Twardowski nie mógł zaprzeczyć, że pragnienia Grzegorza są słuszne, aczkolwiek

uderzyło go, że ten, wyłuszczając je, nie patrzył mu prosto w oczy.

- Kiedy byś chciał odejść? - zapytał.

- Zaraz, gdyby pan był łaskaw pozwolić. Teraz wiosna, czas na robotę w gospodarstwie...

- Dlaczego mi przedtem nic nie mówiłeś?

- Nie mogłem pana opuścić. Dopiero teraz, kiedy z Culmerem już z a ł a t w i o - n e...

Odpowiedź była logiczna. Tylko dlaczego on takim dziwnym tonem wymówił ostatni wyraz?...

Pomyślawszy chwilę, Twardowski rzekł:

- Mój drogi, niedawno się znamy, ale miałem sposobność się przekonać, że jestem człowiekiem bardzo uczciwym i że mam w tobie szczerego przyjaciela. Ja też jestem twoim przyjacielem. Rozumiem dobrze, że masz obowiązki względem żony i dzieci i nie zaprzeczam, że prośba twoja jest słuszna. Przykro mi się z tobą rozstać, ale trudno - idź na swoje gospodarstwo. Będziemy bliskimi sąsiadami i mam nadzieję, że zajrzysz do mnie od czasu do czasu. Proszę cię, licz na mnie, gdy ci moja pomoc w czymś będzie potrzebna.

Grzegorz się pochylił, pocałował go w rękę i odszedł lekkim krokiem.

Twardowski pozostał z poczuciem, że wiemy służący stryja nie wszystko mu powiedział, co miał w duszy.

Nazajutrz Grzegorz z rodziną wyprowadził się z domu Turowskiego do siebie, przedtem przedstawivszy panu swego szesnastoletniego siostrzeńca, Janka, dobrze wyrosniętego i sprytnie patrzącego chłopaka, i oddawszy go pod komendę Antoniego.

Po paru dniach Twardowski dobiegał do końca z porządkowaniem papierów w bibliotece. Nie znalazł nic, co by mogło mieć wagę dla Culmera i dla grabarzy. Nie było też książek, o które by im mogło chodzić. Czy to zostało wszystko zniszczone, czy umieszczone gdzieś poza domem, czy może w domu jest jeszcze jakaś skrytka, na którą nie wpadł?...

Miał list od Wandy, która donosiła, że jej go bardzo brakuje, że tatko jest w Zbychowie, że ona z mamusią przygotowują się do najazdu na Turów i z góry ogromnie się cieszą.

W dwa dni dostał drugi list, zawierający mniej więcej to samo z dodatkiem, że od tatki ze Zbychowa nie ma żadnych wiadomości.

Jednocześnie, również ze stemplem warszawskim, przyszedł drugi list, adresowany po francusku. Otworzył kopertę, spojrzął na podpis: Prof. R. Paloma Oldenhuis.

Czytał w gazetach o przyjeździe profesora do Warszawy dla studiów nad kwestią mniejszości narodowych. Znal go, spotykał tego Żyda holenderskiego w Paryżu. Miał z nim raz interesującą rozmowę, w której Oldenhuis pouczał go, że jedyną drogą do zdobycia wiedzy wyższej jest wejście do organizacji, która te wiedzę posiada - to samo, co mu w parę lat potem powiedział Culmer.

- Niezawodnie – pomyślał Twardowski – przyjazd jego jest w związku z kłopotami mecenasa.

Profesor przypominał się pamięci Twardowskiego, chciał się koniecznie z nim zobaczyć, gotów był przyjechać do Turowa, jeżeli ten nie będzie w Warszawie.

Twardowski postanowił za dwa dni rano pojechać do Warszawy i przyjąć tam profesora przed południem. Odpisał mu, a jednocześnie napisał do Wandy, zapraszając się do nich tegoż dnia na śniadanie.

W dwa dni potem o jedenastej rano siedział w swym mieszkaniu warszawskim, oczekując holenderskiego profesora, z którym obiecywał sobie interesującą rozmowę. Profesor, wszedłszy do gabinetu Twardowskiego, wyraził przede wszystkim ogromną radość z powodu spotkania się w tym obcym dla niego mieście z dawnym a tak miłym znajomym.

Gdy. Usiadł, zapytał:

- Cóż, prowadzi pan dalej studia metapsychiczne?

- W ostatnich czasach je przerwałem; zajęty jestem sprawami osobistymi. Odziedzyczyłem majątek po stryju. .

- Majątek albo pomaga studiom, albo przeszkadza – rzekł, śmiejąc się, profesor.

- Mnie dotychczas przeszkadza, ale mam nadzieję, że w przyszłości pomoże. Ma się rozumieć, część energii trzeba będzie oddać praktycznemu życiu.

- Bardzo słusznie. Ja to samo robie i udział w praktycznym życiu bierze u mnie coraz więcej przewagę nad pracą naukową.

- Chyba brał zawsze - zauważył znacząco Twardowski.

- Pamięta pan nasza długą rozmowę w Paryżu, nieprawda? Chciałbym teraz ja z panem kontynuować...

- W celu?

- To się okaże z rozmowy, jeżeli pan sobie jej życzy.

- Ależ owszem.

Twardowski spodziewał się jeszcze czegoś dowiedzieć.

- Pan domyślił się - mówił powoli profesor - że się bardzo interesuję pewną organizacją.

- Naturalnie.

- Otóż ta organizacja miewa poważne trudności. Rzadko, raz na dziesiątki lat, ale zdarza się czasami, że się popełni błąd i wpuści w jej szeregi człowieka, który nie dorasta moralnie do wymaganego poziomu...

Profesor przerwał i widocznie czekał na jakąś uwagę od słuchacza. Ten wszakże milczał.

- Taki właśnie wypadek zdarzył się tu, w Warszawie. Wielki kłopot sprawił mi niejaki Henryk Culmer... Pan go zna?

- Miałem sposobność z nim się zetknąć.

- Ostrzegam pana. To człowiek bardzo zdolny, ale okazał się bardzo nieuczciwy. Twardowski śmiał się w duchu z tego przyjacielskiego ostrzeżenia.

- To jest tragedia - ciągnął profesor. - Już zerwaliśmy z nim. Mamy tu wielu poważnych ludzi, którzy zasługują na to, ażeby na ich czele stała osobistość nie tylko nieskazitelna, ale bardzo wybitna. Niestety, nie ma nikogo, kto by się na to wielkie stanowisko nadawał, kto by umiał korzystać należycie z posiadanej władzy...

Twardowski ciągle milczał. Profesor po krótkim wahaniu znów zaczął:

- Myślałem sobie, że gdybyśmy mieli tak wybitnego i tak europejskiego człowieka, jak pan, w krótkim stosunkowo czasie. mogliśmy pana na to stanowisko wysunąć...

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Wreszcie przerwał je Twardowski:

- Przecenia pan moje zdolności. Wątpię też, żebym kiedykolwiek mógł rozwinąć w sobie ambicje w tym kierunku.

- Dlaczego? - zapytał gorąco profesor.

- Jestem indywidualistą i cenię nade wszystko swoją wolność.

- Cóż człowiek znaczy sam? Do czego dojść może? Co może działać?...

Wywiązała się dyskusja, w której Twardowski robił wszelkie wysiłki, żeby zachować zimną krew i spokój, a także nie okazać, że wie za wiele.

Wreszcie profesor się rozgorączkował i rzekł:

- Pan jest bardzo nierozsądny.

- Culmer był rozsądniejszy - Twardowski się uśmiechnął.

- Culmer był najnierozsądniejszym człowiekiem w świecie!

- A ja myślałem, że mu brakowało tylko uczciwości.

Ironia w tonie Twardowskiego zirytowała profesora.

- Mniejsza o Culmera, on już dla nas nie istnieje. Mowa o panu. Czy pan wie, że bywają sytuacje, kiedy można wszystko wygrać, albo wszystko przegrać? Obawiam się, że pan się obecnie w takiej znajduje.

- To byłoby interesujące.

- I że pan nie dość poważnie swą sytuację traktuje.

- A jakże się na swoją zapatruje Culmer? - zapytał Twardowski uśmiechnięty.

Profesor nie odpowiedział. Powstał ze słowami:

- Jestem pewien, że nie ostatni raz o tym przedmiocie rozmawiamy...

- Może być.

Pożegnali się.

Było w pół do pierwszej. Twardowski kazał zajechać i udał się do pan Czarnkowskich.

Służący otworzył mu drzwi z jakąś grobową miną. Czuł, wchodząc, atmosferę zamieszania. Chodził po salonie, zapytując siebie, co się stać mogło.

Za chwilę weszła Wanda, blada, z zaczerwienionymi oczyma. Miała na sobie czarną sukienkę, której nigdy nie widział.

- Tato nie żyje - rzekła cicho, wyciągając do niego rękę.

Nie wyrzekł ani słowa. Otoczył ją ramieniem, przygarnął do siebie i pocałował w czoło. Dziewczyna rozplakała się.

Począł, aż się uspokoiła i łzy otarła. Posadził ją na kanapie, usiadł koło niej i zapytał:

- Jak to się stało?

- Dziś rano przyjechał rządca ze Zbychowa z wiadomością, że tato umarł o północy na atak serca. Cały dzień jeździł po folwarkach, wieczorem poczuł się słabo i koło dziesiątej kazał telefonować po doktora. Zanim doktor przyjechał, już nie żył.

Znów się rozplakała.

- Po powrocie z Londynu - rzekł po chwili - zastałem go strasznie zmienionym.
Nie przypuszczałem jednak...

- Tatko nie był silnym człowiekiem, ale na pewno żyłby...

- Gdyby nie te przejścia - rzekł Twardowski.

- Gdyby się tak strasznie nie zawiódł na człowieku. któremu ufał bezgranicznie.

Mimo woli zboleła dziewczyna postawiła najlepszą diagnozę: Czarnkowski był za słabym człowiekiem, żeby żyć bez oparcia się o kogoś. Gdy zabrakło mu Culmera, wszystko się zawaliło...

Weszła pani Czarnkowska, również czarnoubrana. Miała twarz skupioną, usta jakoś dziwnie zaciśnięte. oczy suche.

- Wie pan o wszystkim? -zapytała.

W milczeniu pocałował ją w rękę. Powstrzymał się od wyrażenia jej współczucia.

- Moje kochanie - zwróciła się do córki - przynieś mi mój woreczek.

Gdy Wanda wyszła. odezwała się jakimś mocnym głosem:

- Nowa ofiara Culmera. Umarł na serce, tak jak Alfred. Teraz kładę żałobę, którą już dawno powinnam nosić.

Wanda wróciła i podano śniadanie.

Panie mu powiedziały, że po południu wyjeżdżają do Zbychowi, gdzie staną wieczorem. Nie śmiał zapytać. jaki los spotka projekt wyjazdu do Turowa; ale pani Czarnkowska sama o tym pomyślała i upewniła go, że zaraz po pogrzebie, który się odbędzie w Zbychowie, przyjadą do niego. Ofiarował się im do Zbychowi towarzyszyć. co obie przyjęły z wdzięcznością.

ROZDZIAŁ XXVIII

Mecenas Culmer siedział przy pierwszym śniadaniu. Machinalnie pociągał kawę z filiżanki, patrząc w przestrzeń, jakby goniąc jakąś myśl, która przed nim uciekała.

To zajęcie przerwał mu Jakub kładąc przed nim gazetę i wskazując palcem na telegram z Londynu. Mecenas drgnął i zaczął czytać:

"W związku ze sprawą *Tugela River Gold Co.* która niedawno zawiesiła wypłaty, aresztowany został znany finansista sir Joseph Turner. Wywołało to niebywałą sensację nie tylko ze względu na fakt, że aresztowany należy do utytułowanej sfery angielskiej, ale także, iż cieszył się on wielkim autorytetem w świecie finansowym i posiadał niemałe wpływy polityczne".

Mecenas zdrętwiał. To już jest katastrofa! To gorsze, niż wszystko. Skandal z Turnerem pociąga za sobą konsekwencje nieobliczalne.

Z biciem serca oczekiwał następnego dnia. Otrzymywał stale *Daily Telegraph*: w najbliższym numerze pewnie będą wiadomości obszerniejsze.

Nazajutrz, przerzucając chciwie numer angielskiego dziennika, znalazł artykuł

o aresztowaniu wybitnego finansisty. Kończył się on ustępem: „Jesteśmy pewni, że sir Joseph Turner łatwo się oczyści z zarzutów, które podobno opierają się na zeznaniach niejakiego Charlesa Culmera, Polaka, osobistości bardzo podejrzanej, znanej od paru lat wśród najlichszych żywiółów City i nocnych lokalach West Endu..

Wypuścił z rąk gazetę. Przez parę minut był sparaliżowany...

Nagle zerwał się z miejsca i zaczął biegać nierównymi krokami po pokoju, krzycząc:

- Kto mnie przeklął?... Kto mnie przeklął?..

Wreszcie usiadł przy biurku, oparł ulowe na łokciach, wpił palce w swą białą grzywę.

Na biurku od wczorajszego wieczora leżała sina obwoluta - jedno z licznych *dossiers*, spoczywających w aktach mecenasa. Wzrok jego padł na nią... Wielkie, czarne litery tworzyły napis:

ALFRED TWARDOWSKI

-Tak, to on... - On mnie przeklął... On nakazał zemstę synowcowi... On zostawił na to pieniądze... Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo!

Zaczął trząść się jak liść.

Gdzieś się podział cywilizowany Europejczyk, pozostał tylko prosty talmudyczny

Żyd, który rażony klątwą wydziera sobie włosy z głowy...

Wyczerpany atakiem rozpaczy opadł bezwładnie na oparcie fotela. Próbował wyobrazić sobie, co się dzieje w Londynie, ale mózg przestał działać...

Tymczasem w Londynie działy się rzeczy całkiem proste.

Pan Charles Culmer, wybierając się do Ameryki, uznał za potrzebne zobaczyć się po drodze z pewną londyńską przyjaciółką. W Duwrze przy rewizji paszportowej zaproszono go do osobnego pokoju i tam zakomunikowano mu, że mają polecenie aresztowania go i odesłania do rozporządzenia komisarza Sinclaira. Ten się nim zaopiekował, pokazał mu jego własne listy do Stuarta, wraz z protokołem rozmowy w wagonie, jako komentarzem do nich, wobec czego młody finansista poczuł się zmuszony do opowiedzenia wszystkiego, co wiedział o współpracy Turnera z *Tugela River*. Po otrzymaniu tych zeznań Sinclair zrealizował jedno z dwóch swoich marzeń: osądził szlachcica angielskiego w areszcie i zaczął z nim rozmowę, która okazała się trudniejsza, niż z latoroślą rodu Culmerów, ale za to o wiele bardziej interesująca.

Charles Culmer był całą sprawą mocno zmartwiony, ale najbardziej tym, że dokonano przy nim rewizji osobistej i położono rękę na znaleziony w jego kieszeniach znaczny zapas dolarów, reprezentujący jego kapitał zakładowy na nowe interesy. Sinclair zakomunikował mu uprzejmie; iż jest wszelka nadzieja włączenia tej sumy do masy upadłości *Tugela River*. Wobec tego zdjęta biedaka skrucha, że nie zostawił rodzicowi przynajmniej znacznej części tych pieniędzy.

Tak się przedstawiały wypadki, które ułamkowo zreferowane w gazetach, doszły do mecenasa Culmera.

Pewnego ranka, kiedy Culmer leżał w łóżku, nie mając ochoty wstać na powitanie dnia, co najmniej równie wstrętne jak poprzedni, wszedł do sypialni Jakub, rozpostarł przed jego oczyma gazetę i milcząc wskazał palcem na krótką notatkę: "Znana powaga w dziedzinie prawa międzynarodowego, prof. Robert Paloma Oldenhuis z Holandii, przybywa dziś rano do Warszawy. Podróż wielkiego uczonego związana jest z jego studiami nad sprawą mniejszości narodowych w środkowej Europie".

Jest... Należało się tego spodziewać, a jednak mróz przeszedł po skórze mecenasa. Wołałby, żeby się to odwlekło...

Leżał jeszcze z pół godziny, myśl jego szybko pracowała. Przygotowywał się do nieuniknionej rozmowy.

Miał już wstać, gdy wszedł Jakub.

- Był telefon z Hotelu Europejskiego. Profesor Oldenhuis zawiadamia, że będzie u pana o piątej po południu.

A więc jest jeszcze sporo czasu... Dźwignął się ciężko z łóżka i powoli wciągnął szlafrok, myśląc nieustannie. Zaczął chodzić po pokoju...

Podszedł do dzwonka, nacisnął. Weszła pokojówka.

- Niech tu Jakub przyjdzie.

- Jakuba nie ma.

- Gdzie jest?

- Ubrał się i wyszedł na miasto.

Odprawił ją gestem.

Jakuba nie ma... Poszedł do Oldenhuisa - musiał go wezwać. Najpierw z Jakubem o mnie, a potem ze mną. To nie jest dobrze...

Mecenas Culmer nie mylił się. Jakub, wyszedłszy z domu, złapał pierwszą taksówkę i kazał się wieźć do hotelu Europejskiego.

Jakub w hotelu, nie informując się u nikogo, wszedł po schodach na pierwsze piętro, odnalazł numer drzwi, którego szukał, i zapukał lekko w jakiś kunsztowny sposób.

- Herein - rozległ się głos z wewnątrz.

Jakub wszedł.

Za niewielkim biurkiem siedział lekko otyły, średniego wzrostu mężczyzna, w wieku jakichś lat pięćdziesięciu, wygolony, szpakowaty, z ostrym, lekko garbatym nosem, z suchymi czarnymi oczyma.

Wskazał Jakubowi krzeselko.

- Niech pan siada - rzekł po niemiecku grzecznie, losem jednak, w którym brzmiała komenda.

Jakub bez wahania usiadł, przez chwile obaj milczeli. Wreszcie profesor odezwał się:

- Ja myślę, że on już jest skończony.

- Bez zadniej wątpliwości. Narobił za wiele szkody.

- Kiedyż to się zaczęło?

- Właściwie zaczęło się już przed wojną. Wtedy już nie umiał sobie poradzić z tym zdrajcą Twardowskim. Znadto wierzył w siebie. Zwracałem na to uwagę, ale myślałem, że to jeden błąd, który się nie powtórzy. Szkoda go było, bo to człowiek zdolny i umiał sobie wyrobić silną pozycję. Teraz się powtórzyło z drugim Twardowskim. Ten jest dużo niebezpieczniejszy i to sprawa gorsza. Wywołał ją sam Culmer przez to, że zbyt był pewny siebie. Największym nieszczęściem jego jest słabość do syna, tego galgana, który jest przyczyną całego skandalu londyńskiego.

Widoczne było, że Jakub jest nie tylko służącym i pomocnikiem Culmera, ale i kontrolerem jego postępowania z ramienia władzy wyższej.

Na rozkaz profesora opowiedział szczegóły wszystkich spraw, które Culmera postawiły w położenie bez wyjścia. Gdy skończył, profesor milczał chwilę, a potem rzekł:

- Jedno jest tylko rozwiązanie: Culmer musi zniknąć.

- Dotychczas nie myśli o ucieczce; tyle nici wiąże go z Warszawą...

- Nie może być mowy o tym. Ucieczka człowieka tak znacznego - to nowy, wielki skandal. Tu trzeba możliwie zamknąć usta gawiedzi. On musi zniknąć w inny sposób. Tylko czy on się na to zdobędzie?..

- On bardzo kocha życie...

- Zobaczymy. Proszę przyjść do mnie jutro rano o tej samej porze.

Jakub wyszedł i taksówką wrócił do domu.

Culmer go nie pytał, po co wychodził na miasto. Czekał, czy Jakub sam czegoś nie powie, ale jego służący i powiernik tak się zachowywał, jak obcy

sublokator w jego mieszkaniu. Robił swoje, starając się jak najmniej zważać na obecność pana. Zdenerwowanie Culmera dochodziło do granic, poza którymi pozostaje już tylko szaleństwo.

Czekał popołudniowej wizyty, jak tchórz oczekuje pojedynku, z przekonaniem, że skończy się dla niego fatalnie. Patrzył co chwila na zegarek...

Punkt o piątej rozległ się dzwonek.

Gość wszedł z miną surową. Dla Culmera twarz jego była odbiciem zimnego okrucieństwa.

Podał rękę gospodarzowi bez słowa powitania, usiadł w fotelu i rzekł po niemiecku:

- Nie myślałem, że spotkamy się w okolicznościach tak smutnych.

- Dla mnie tragicznych - odrzekł Culmer z emfazą.

- Nie tylko dla pana.

Culmer zaczął szeroko mówić o przyczynach tego, co się stało, wskazując je stale poza sobą.

Profesor mu przerwał:

- Nie ma pan potrzeby opowiadania mi o tym, co się stało. Ja wszystko wiem, jestem dokładnie poinformowany. Chciałbym tylko mieć ściśle zeznanie w sprawie *Tugela River* z pańskiej strony.

To było dla Culmera najcięższe. Wiedział wszakże, iż nic utaić się nie da. Bijąc się tedy w piersi, przyznał się do wszystkiego.

- Pan wie - rzekł gość zimno - że my staramy się nie krępować swoich ludzi w interesach; owszem, pomagamy im. Ale żądamy rozumu i taktu. Skandale są niedopuszczalne. .

Culmer zaczął przytaczać okoliczności łagodzące, a gdy już widział, że powoływanie się na swoje zasługi nie sprawia wrażenia na gościu.

- Wiem, wiem, wiem – mruczał gość. - Wszystko pan przekreślił. Dziś jest pan niemożliwy.

- Tak - rzekł zrozpaczony mecenas - położenie jest prawie bez wyjścia...

- Wyjście zawsze jest - rzekł gość twardo.

- Jakie?...

- Gdy nie można wyjść z położenia, to się wychodzi z życia.

Culmer odrzucił się w tył i blady patrzył w gościa szklanymi oczyma.

- Ja... mam?...

- Tak - rzekł spokojnie profesor, nie dając mu dokończyć.

- Ja tego nie mogę zrobić!

Oldenhuis wzruszył ramionami. Czekał chwile i wstał.

- Pewne stanowiska obowiązują - rzekł sucho. - Radzę się zastanowić...

Współczuje panu, ale to jest jedyne wyjście. Pozostaje już tylko...

- Co? - wyksztusił Culmer chrapliwym głosem.

- Co zrobicie?

- Wole tego nie mówić. Żegnam pana.

Z tymi słowami profesor Paloma Oldenhuis opuścił mieszkanie mecenasu Culmera. Ten pozostał w fotelu sparaliżowany trwogą. Chciał wstać, zatrzymać odchodzącego, ale nogi i ręce odmówiły mu posłuszeństwa.

Miotął się wewnątrz jak w agonii. Później przyszło przytępienie i apatia. Obiadu tego wieczora nie jadł, kazał sobie podać tylko czarną kawę i koniak. Wypił dużo obu płynów i to go postawiło nieco na nogi. Zaczął myśleć nad innym wyjściem. Zlikwidować interesy i wyjechać gdzieś daleko?... Ale dokąd?... Do Ameryki? Tam nie

można; tam ich jest za wielu... Może do Włoch?... Tam teraz chyba najbezpieczniej. Rzecz zaczęła mu się przedstawiać prawie realnie...

Zdecydował się iść spać. Jutro spokojnie trzeba wszystko przemyśleć. Wszedł do sypialni i zapalił światło. Zadrżał...

Na stoliku, przy łóżku ujrzał swój nieużywany browning, który tam nigdy nie leżał.

Zbliżył się powoli, jakby do węża jadowitego. Broń była świeżo wyczyszczona, przygotowana do użycia. Patrzył na nią zdrętwiały... To Jakub mu tak ułatwia powzięcie postanowienia... Nagłym ruchem chwycił broń, wrócił do gabinetu, wyciągnął szufladę, wrzucił w nią pistolet i zamknął na klucz.

- Nie doczekacie się tego! - zazgrzytał.

Nazajutrz Jakub znów siedział u profesora Oldenhuisa.

- Bryłem pewny - mówił - że on się na to nie odważy.

- W takim razie trzeba skończyć z nim na innej drodze.

W głosie profesora brzmiał wyrok nieodwołalny.

Jakub spokojnym, jakby mówił o najzwyczajniejszej w świecie rzeczy, odpowiedział:

- Myślałem o tym przed przyjściem tutaj.

- Trzeba to zrobić tak, aby nie było skandalu.

- Może by się udało zrobić tak, że skandal byłby, ale nie dla nas.

- Co pan chce powiedzieć?

- A gdyby się dało tak urządzić tę sprawą okazaliby się drugi człowiek, którego musimy się pozbyć?..

- Kto?

- Twardowskie.

Oczy profesora błysnęły.

- Czy to możliwe?

- Nie mogę jeszcze powiedzieć, że na pewno możliwe. Potrzebuje na to trochę czasu.

- Ile?

- Może z tydzień.

- Ja tu dłużej zabawię. Gdy pan plan przygotowuje, obejrzymy go. Tylko proszę pamiętać, że nie mamy czasu do stracenia i że sprawa musi być załatwiona.

- Amen - rzekł Jakub. Wobec pożegnalnego gestu profesora Oldenhuisa złożył głęboki ukłon i poszedł pracować.

Przed wyjściem zostawił profesorowi dość długi spis adresów w Warszawie i na prowincji, który ten kazał dla siebie przygotować.

Profesor Oldenhuis siedział dłuższą chwilę nieruchomy. Myślał o czymś głęboko. Wreszcie rzekł do siebie:

- Trzeba i tego spróbować. Kto wie?... Może?...

Wziął do ręki pióro i napisał list do Twardowskiego.

Po włożeniu listu do koperty wziął słuchawkę telefonu i podał numer. Mówił tym razem po angielsku.

- Zdaje się, że poznaje głos pański. Mówi Paloma... Chciałbym pana jak najprędzej zobaczyć... Na śniadanie?... Dziękuję bardzo, przyjdę... Mogę przyjść wcześniej. O wpół do pierwszej?.. Dobrze.

Zajrząwszy do spisu, pozostawionego mu przez Jakuba, zaadresował list do Twardowskiego i nie zaklejając koperty, włożył go do kieszeni.

Po wpół do pierwszej prof. Paloma Oldenhuis siedział, w głębokim, skórą krytym fotelu, w obszernym, kosztownie i gustownie umeblowanym gabinecie,

którego ściany, ozdobione długimi szeregami grubych tomów na półkach, świadczyły o powadze umysłowej gospodarza.

Naprzeciw niego, w takim samym fotelu, siedział sam gospodarz, starszy o kilkanaście lat od gościa, z suchą twarzą. której wygolenie uwydatniało jej ostre rysy żydowskie, tak stylowo żydowskie, że aż rzadko spotykane. Czarne jego oczy były utkwione w gościa, a na ustach zarysowanych co prawda po żydowsku, z wargami jednak bardzo cienkimi. błąkał się ledwie dostrzegalny uśmiech. Nie był to uśmiech uprzejmy - raczej mówił on o poczuciu wyższości u jego właściciela.

- Nie przypuszczałem, że Culmer nam sprawi tyle kłopotu - mówił Oldenhuis.

- Syn takiego zasłużonego człowieka.

- Tak - rzekł gospodarz - ojciec jego to był pierwszorzędny człowiek. Chcąc wszakże spełnić swe zadanie, musiał się ochrzcić. A za to się drogo płaci. Bo już nie można dzieci wychować w naszej religii, naprawdę po żydowsku. Oni są Żydami, bo Żydem przestać być nie sposób, ale są Żydami płytkimi i niepoważnymi.

Żałuję, że formalnie należę do jego grupy, że czasami brałem udział w jej zebraniach. To, co się stało, jest bardzo nieprzyjemne.

- Właśnie przyszedłem pana pytać o radę, jak to naprawić. Pan by nam mógł pomóc.

Uśmiech na ustach gospodarza stał się wyraźnie ironiczny.

- Nie zaproponuje mi pan chyba, żebym go zastąpił? Nie mogę się przecież tak zdegradować.

- Ależ nie śmiałybym nigdy. Tylko gdyby pan chciał wziąć teraz trochę więcej udziału...

- Pan wie przecież - przerwał gospodarz - że moje wysokie stanowisko nie pozwala mi na zbyt określoną rolę w tej organizacji, na pełnienie w niej jakichkolwiek stałych funkcji...

- Prawda.

- Rozumiem trudność położenia, bo wśród tej reszty nie ma ani jednego człowieka.

- Co pan myśli o Twardowskim?

Gospodarz spojrzał bystro na mówiącego.

- Śmiała myśl - rzekł.- Niestety, ja go nigdy nie widziałem.

- Ja go trochę obserwowałem przed paru laty. Miałem z nim raz ciekawą rozmowę.

- O czym?

-O Kabale.

- Oho! - zawołał gospodarz ożywiony. - Cóż on mówił?

- Przed wszystkim widziałem, że dużo wie. Chwilami mówił tak, jakby był Żydem. Zna wcale nieźle hebrajski...

- I ja słyszałem, że on wie dużo. Tacy ludzie powinni być w naszych rekach, albo nie powinno ich być wcale. Tylko takiego człowieka trzeba za coś mocno trzymać.

- Wiec?..

- Można spróbować.

Rozmowę przerwało śniadanie.

Profesor Paloma Oldenhuis, wyszedłszy po śniadaniu na ulicę, wyjął z kieszeni list zaadresowany do Twardowskiego, zakleił go i wrzucił do skrzynki pocztowej.

Rozdział XXIX

Koło piątej Twardowski zajechał po panie, ażeby zawieść je swą limuzyną do Zbychowa. Ich samochód odjechał o godzinę wcześniej, wioząc służącego, pokojówkę i kufarki. Wanda chciała nim pojechać, ale matka jej nie pozwoliła.

W drodze pani Czarnkowska opowiadała Twardowskiemu o Zbychowie i o dziecięcych latach Wandeczki, widocznie chcąc oderwać od obecnej chwili myśl dziewczyny, która siedziała w milczeniu, od czasu do czasu ocierając łzy, cisnące się jej do oczu.

Już było dobrze ciemno, kiedy zajechali przed dom zbychowski, obszerny dwór wielkoszlachecki, zbudowany, sądząc po stylu, w końcu XVIII wieku. Służący na wstępie zaraportował, że ciało złożono już do trumny i wystawiono w wielkiej sali.

Wanda, nie zdejmując płaszcza, pobiegła do sali. Pani Czarnkowska powoli się rozbrajała, zatrzymując Twardowskiego.

- Niech mi pan nie próbuje w niczym pomagać - mówiła do niego. - Ja sobie sama ze wszystkim poradzę. Niech się pan zajmie Wandeczka - ona jest bardzo biedna.

W tonie jej i ruchach Twardowski zauważył jakąś nową energię. Później stwierdził, że ta energia nie opuszczała jej ani na chwile przez cały czas pobytu w Zbychowie. Była w wielkim stylu panią domu, pamiętająca o wszystkim, wydająca rozkazy spokojnie, bez podnoszenia głosu, rozkazy, które były natychmiast ściśle wykonywane.

Powoli przeszli do sali, gdzie zastali dziewczynę, klęczącą przed trumna ojca i zalaną łzami. Pani Czarnkowska zatrzymała się, wzrok jej padł na otwartą trumnę, na którą dwie wysokie świece woskowe rzuciły żółte, falujące światło, po czym uklękła i zaczęła się modlić. Oczy jej były suche...

Twardowski patrzył to na jedną, to na drugą z klęczących kobiet, porównywał je i próbował sobie odtworzyć, co się dzieje w duszy każdej z nich... Przypomniał sobie słowa pani Czarnkowskiej o Wandzie: "ona jest bardzo biedna"... - A ty? - zapytał w duchu ze ściśniętym sercem.

Śmierć Czarnkowskiego była dużym wypadkiem nie tylko dla okolicy. Miał on stosunki w całym kraju i niemało krewnych. Telegramy kondolencyjne napływały jeden za drugim tak, iż należało się spodziewać wielkiego zjazdu na pogrzeb.

Pani Czarnkowska o wszystkim myślała. Zarządziła pogrzeb: pojutrze rano, nabożeństwo żałobne w miejscowym kościele, po nabożeństwie złożenie zwłok do grobów rodzinnych. Rozpisała listy do okolicznego duchowieństwa z zaproszeniami do udziału w obrzędzie. Przygotowywała dom na przyjęcie licznych gości i wielkie śniadanie dla nich po pogrzebie. Wszystko robiła równo, ze spokojem.

Twardowski nie mógł zrozumieć, skąd się w tej kobiecie wzięło tyle energii. On sam starał się przebywać jak najwięcej w towarzystwie Wandy. Mówił dużo, usiłując oderwać jej myśli od tej stojącej w domu otwartej trumny: opowiadał jej wiele o sobie, o swej przeszłości od lat dziecinnych, wiedząc, że to ją interesuje. Dziewczyna była bierna, uległa, wpatrzona w niego słuchała wszystkiego, co mówił. Straciwszy ojca, całkowicie już oparła się o niego, trzymała się go jakby w strachu, że bez niego zginie. Wszystko, co jej zalecał, wykonywała jak posłuszne dziecko.

- Mama postanowiła - mówił do niej - przedstawić mnie krewnym i znajomym, jako twego oficjalnego narzeczonego. To dobrze, prawda?..

Przytuliła się do niego.

- Jaka ona dobra! - szepnęła. - O wszystkim myśli i wszystko rozumie. Ja już nie mam siły grać dłużej komedii. Będę mogła mówić głośno, że mój...

W dzień pogrzebu od wczesnego rana zaczął się ruch pojazdów, zwożących gości na pogrzeb. Bliżsi zajeżdżali do domu, dalsi do kościoła. Wielu z nich znało cały bukiet wieści, puszcanych po Warszawie, o Twardowskim, a byli między nimi i tacy, którzy mieli sposobność mu okazać, że tym plotkom wierzą. Pani Czarnkowska wszakże, która istotnie myślała o wszystkim, zdążyła szepnąć paru paniom, że Twardowski jest bardzo bogaty i włoży parę milionów w Zbychów, aby podwoić jego dochody. Ta wieść z błyskawiczną szybkością rozeszła się wśród całego zgromadzonego towarzystwa. Natychmiast zapomniano o wszystkich plotkach, zaczęto mówić o świetnej partii, jaką robi panna Czarnkowska, a jej narzeczony stał się centralną osobą wśród zgromadzonych. W czasach takiego braku gotówki człowiek, rozporządzający milionami, był bohaterem. Dyskretnie, ze względu na smutną chwilę, składano młodej parze życzenia.

Twardowski przez cały czas porównywał ten okazały pogrzeb z bezdennie smutnym w swym ubóstwie obrzędem. Odprawionym wśród nocy zimowej przez księdza Rybarzewskiego.

Podczas pogrzebu pani Czarnkowska trzymała się mężnie, ani na chwile nie opuściły jej siły. Niemniej dobrze trzymała się przy śniadaniu, na które zaproszono kilkadziesiąt osób. Tylko ból, wypisany na twarzy Wandy i takt zebranych sprawił, że nie wykoleiło się ono w ucztę zaręczynową. Gdy goście się rozjechali, gdy Twardowski, odprowadziwszy ostatniego do samochodu, wrócił do pań, siedzących w małym saloniku, zastał Wandę w ramionach matki i ujrzał łzy na twarzach obu kobiet.

Pani Czarnkowska otrząsnęła się.

- No, dziecinko - rzekła - idź, gotuj się do drogi. I my pojedziemy.

- Dokąd? - spytała dziewczyna.

- Do Turowa.

Wanda zdziwiła się, że to następuje tak rychło, ale spojrzała na Twardowskiego i szybko wyszła wykonać polecenie.

Jej przybrana matka odetchnęła z ulgą i rzekła do Twardowskiego:

- Ostatnie obowiązki pani Czarnkowskiej spełnione. Już ten dom nie jest moim domem.

Uprzejmy i nie inteligentny narzeczony panny Czarnkowskiej byłby ją upewnił, że zawsze jej domem będzie. Twardowski wszakże zrozumiał myśl nieszczęśliwej kobiety i nic nie odpowiedział.

Poszedł do swego pokoju przebrać się. Kazał przysłać sobie Marka. Szofer już był uprzedzony i gotów do drogi. Z mapą w reku obliczył, że bocznymi drogami, niezawodnie bardzo lichymi, można się będzie dostać do Turowa w ciągu trzech godzin.

Twardowski, zeszedłszy na dół, zastał przed domem oba samochody. Wszystkie rzeczy były złożone w wielkim, otwartym samochodzie Czarnkowskich, do którego z tyłu były przymocowane dwa duże kufry. Siedziała w nim pokojówka.

Za chwilę zeszyły panie.

- Pan nas zabierze do siebie - rzekła pani Czarnkowska - a Antosia pojedzie za nami.

Widać było, że wszystko do końca obmyśliła i przygotowała.

Już mieli wsiadać, gdy do przedpokoju wszedł administrator Zbychowa, którego Twardowski przedtem poznał.

- Pani była łaskawa mnie wezwać - rzekł do pani Czarnkowskiej.

- Tak. Chciałam panu podziękować za pańskie trudy w tej smutnej chwili i pożegnać się z panem - mówiła to tak, jakby opuszczała Zbychów na zawsze.

- Pan wie, że pan Twardowski jest przyszłym mężem mej córki. Otóż on tu teraz Rządzi, jemu pan będzie łaskaw składać sprawozdania i do niego się zwracać po zaszadzenia.

Twardowski był zaskoczony; nie myślał jeszcze o tych nowych obowiązkach, które musiały na niego spaść z konieczności. Nie okazał tego jednak. Wyciągnął rękę do administratora ze słowami:

- Zobaczymy się wkrótce.

Jechali dłuższy czas w milczeniu. Każde z nich pogrążyło się w swych myślach. Najbardziej skupiona była pani Czarnkowska: brwi jej ściągnęły się, oczy patrzyły w nieskończoną dal, a zaciśnięte usta świadczyły o powzięciu jakichś decyzji nieodwołalnych.

- Dopiero dziś dowiedziałem się - przerwał milczenie Twardowski - że ze Zbychowa do mnie nie jedzie się przez Warszawę.

- To dobrze - odezwała się Wanda. - To mi daje poczucie, że będę niedaleko tatka.

Pani Czarnkowska drgnęła...

- Dziecko moje - rzekła - to jest bardzo daleko...

I jakby się spostrzegła, że powiedziała to niepotrzebnie, poprawiła się:

- Oczywiście nie dla ciebie. Cóż w twoim wieku znaczą trzy godziny choćby najgorszej drogi...

Wyrwana raz z zadumy zrobiła się rozmowna. Wypytywała Twardowskiego o dom Turowski, o okolice, o odległość od kościoła...

Droga, która jechali, prowadziła przez miasteczko, które Twardowski znał dobrze, gdyż odwiedzał tam doktora Zemłę i przez wieś kościelną.

Właśnie zbliżali się do miasteczka.

- Tu mieszka - rzekł Twardowski - zacny człowiek, doktor Zemła, który leczył mego stryja...

Pani Czarnkowska ożywiła się.

- Bardzo chciałabym go poznać.

- Zaprosimy go na jutro na obiad razem z proboszczem. dobrze?

Przerwał i na brudnej ulicy miasteczka zatrzymał samochód. Wskoczyli na ulicę i podbiegł do idącego w pobliżu starego, małego wzrostu człowieka. Serdecznie się przywitani, zamienili parę słów i podeszli do samochodu.

- Pozwolą sobie panie przedstawić mego przyjaciela, doktora Zemłę...

Doktor przez drzwiczki ucałował rękę pani Czarnkowskiej, czyniąc to niezgrabnie,

tak, że się o mało nie przewrócił. Stał poprawiając sobie okulary i nie widział wyciągniętej do niego reki Wandy, która się uśmiechnęła po raz pierwszy od śmierci ojca. Nareszcie się spostrzegł i zaczął ją przeproszać za swoje gapiostwo.

- Mój narzeczony - rzekła Wanda, której widocznie zależało na tym, żeby wszyscy wiedzieli - obiecał nam, że będzie pan u nas jutro na obiedzie. Ogromnie się z tego cieszymy.

- Czułabym się bardzo pokrzywdzona - dodała pani Czarnkowska - gdyby pan nam zrobił zawód.

Doktor wyjął obietnicę stawienia się, otrzymał za to podziękowanie i pożegnany serdecznie przez towarzystwo, pozostał na środku ulicy. Tyle wrażeń w ciągu tak krótkiej chwili oszołomiło go. Wolnym krokiem ruszył ku domowi, gdzie czekało na niego niezawodnie kilkanaścioro brudnych Żydów.

- Cóż to za oryginalny człowiek!- zawołała Wanda. Jeszcze takiego nie widziałam. Ale ogromnie miły: musi być bardzo dobry. Ja się z nim zaprzyjaźnię.

Twardowski cieszył się, że dziewczyna nareszcie się ożywiła.

- Oto nasza wieś kościelna - informował panie.

- To tu jest ten cmentarz?.. - zapytała pani Czarnkowska.

- Tak.

- Niech pan każe stanąć przed cmentarzem - rzuciła jakby rozkaz.

Wysiedli, weszli przez otwartą bramę.

- Gdzie? - zapytała.

- Tam. gdzie ten człowiek kłęczy.

„Nieco większą i wyższą od sąsiednich wznosiła się usypana z ziemi, zieleniejąca

mogila; u jej głowy stał wkopany w ziemię duży z prostego. okrągłego drzewa krzyż, a u stóp kłęczał wysoki, barczysty człowiek.

- To Grzegorz - szepnęła do Twardowskiego Wanda, która widocznie dobrze zapamiętała służącego.

Ten, słysząc za sobą kroki, obrócił się. Zerwał się na nogi. złożył głęboki ukłon zbliżającym się i oddalił się, ustępując im miejsca przy grobie.

Pani Czarnkowska szła szybko naprzód. Padła na kolana, oparła głowę o mogilę i tak pozostała bez ruchu.

Na widok tej kobiety w grubej żałobie, leżącej na mogile, nikt nie mógł mieć wątpliwości po kim nosi żałobę.

Wanda stanęła jak wryta. Z przerażeniem patrzyła na Twardowskiego, pytając oczyma, co to znaczy. Ten był niemniej przerażony; dziewczyna była zbyt inteligentna, żeby nie zrozumieć...

Obejrzał się, jakby szukając pomocy. W bramce cmentarza stał ksiądz Rybarzewski, patrząc ze zdumieniem na tę scenę.

- Chodź - rzekł do Wandy. poznam cię z moim proboszczem.

Poszła posłusznie. Ksiądz ruszył na ich spotkanie.

- Moja narzeczona, panna Czarnkowska - rzekł Twardowski, wymawiając nazwisko z naciskiem.

Ksiądz machinalnie wyciągnął do niej rękę, a oczy jego pobiegły ku kobiecie, opartej na mogile. Wanda czytała w tych oczach, że rozumie on to, czego ona jeszcze nie rozumiała.

- Chodźmy do mamusi - szepnęła.

- Zostaw ją w spokoju - rzekł ksiądz, zatrzymując dziewczynę za rękę.

Wyprowadził ich za ogrodzenie cmentarza.

Chcąc widocznie odwrócić uwagę od tamtej kobiety, rzekł do Wandy:

-To pani! Nic dziwnego...

. Co ja? I co księdza nie dziwi?

- Od dawna już zauważyłem w panu Twardowskim wielką zmianę. Byłem pewien, że spotkał nareszcie te, która mu Bóg przeznaczył. I nawet mu to powiedziałem, ale on się nie chciał przyznać. Patrząc na panią, nie dziwie się, że zrobił ten wybór. .

Błada twarzyczka dziewczyny zaróżowiła się. Patrzyła to na księdza, to na narzeczonego.

- Nie wiedziałam - rzekła zmieszana, że w tej okolicy księża mówią paniom komplementy.

- Nieszłuszny zarzut - odparł proboszcz zadowolony, że udało mu się zająć uwagę dziewczyny. - Ksiądz mówi szczerze to, co myśli. Nie uwierzy pani, jaki będę szczęśliwy ,jeżeli to ja będę wam ślub dawał. Bez żadnego wahania biorę ten akt na swoją odpowiedzialność.

Pocziwie się uśmiechnął .

- No - rzekł po chwili - ale pani już pewnie skończyła modlitwę. Chodźmy do niej. Gdy się zbliżali, pani Czarnkowska podniosła głowę i otarła szybko łzy z twarzy. Wanda pochyliła się nad nią.

- Mamusiu, tu jest z nami ksiądz proboszcz.

Twardowski skoczył i pomógł podnieść się kobiecie, która stanęła przed nim blada, z wyrazem dziwnej pokory na twarzy. Znikła gdzieś wielka pani z dworu zbychowskiego.

Patrzyła badawczymi oczyma na księdza, którego jej przedstawiano.

- Czy ksiądz może mnie jutro rano przyjąć do spowiedzi? -zapytała cichym głosem.

Twardowski poprowadził Wandę ku wyjściu z cmentarza, zostawiając panią Czarnkowską z księdzem. Dziewczyna, idąc obok niego, głośno myślała:

- Mamusia tak traktuje tego księdza, jakby go znała od dawna...

- Słyszała wiele o nim ode mnie - objaśnił jej Twardowski.

Spojrzała mu w oczy, jakby chcąc się więcej dowiedzieć, ale Twardowski dorzucił tylko:

- Ten ksiądz to duży człowiek.

Doszli do samochodu. Za chwile zbliżyła się pani Czarnkowska z proboszczem, który na zaproszenie Twardowskiego obiecał przybyć nazajutrz na obiad.

Parę ostatnich kilometrów przejechali w milczeniu: Wanda ukradkiem spoglądała na matkę i myślała z widocznym wysiłkiem. Nie spostrzegły się obie, jak samochód stanął przed domem.

Twardowski sam poprowadził panie na górę do ich pokoi i objaśnił im ich rozkład.

- Za chwile przyniosą rzeczy pan – rzekł - przyjechały one tuż za nami.

Wyszedł, zostawiając je w buduarze.

Wanda posądziła przybraną makę na szezlongu i sama usiadła przy niej. Popatrzyła jej w oczy i rzekła.

- Mamusiu, czy mogę cię o jedną rzecz zapytać?

- Słucham.

- Dlaczego ty byłaś zawsze dla mnie, jak rodzona matka? Dlaczego mnie tak kochałaś?...

Pani Czarnkowska, zaskoczona tym nieoczekiwanym pytaniem, chwile milczała. Wreszcie odpowiedziała cichym głosem:

- Dziecko, przecież ty jesteś córka mojej biednej, ukochanej siostry.

- Rozumiem.

Rzuciła się przybranej matce na szyję.

- Mamusiu, mamusiu, jaka ty byłaś nieszczęśliwa!...

Pani Czarnkowska patrzyła na nią z przestachem.

- Tyś tatka nie kochała, tyś kochała tamtego...

Biedna kobieta oniemiała.

- Czy on był taki, jak Zbigniew?

To pytanie dodało pani Czarnkowskiej odwagi. Zdobyła się na odpowiedź:

- Zbigniew bardzo podobny do niego.

- To musiałaś go kochać.

Tymi słowami córka Czarnkowskiego po jego śmierci dała absolucje jego owdowiałej żonie.

Po obiedzie, przy którym rozmowa toczyła się o doktorze Zemle i o księdzu Rybarzewskim, pani Czarnkowska, powołując się na zmęczenie, poszła do siebie na górę, a Twardowski z Wandą pozostali w hallu.

Nie chcąc, ażeby panie wchodziły wieczorem do biblioteki, nie kazał jej oświetlać, kawę zaś kazał stale podawać w sieni.

Zaraz po oddaleniu się pani Czarnkowskiej Wanda zwróciła się do narzeczonego.

- Teraz musisz mi powiedzieć wszystko o mojej mamusi i o twoim stryju.

Twardowski oniemiał.

- Nie bój się - rzekła - ja wiem, że mamusia kochała twojego stryja i jako żona mego tatka była bardzo nieszczęśliwa. Domyśliłam się tego i jej to powiedziałam, a ona nie zaprzeczyła. Tego tylko nie wiem, dlaczego, kochając twego stryja była żoną mego tatka. Jej o to pytać nie mogłam, więc ty mi musisz powiedzieć.

Widział, że nie ma wyjścia. Zresztą, jeżeli dziewczyna wiedziała tyle, lepiej było, żeby wiedziała wszystko. Opowiedział jej więc całą historię w postaci jak najmniej drastycznej.

Dziewczyna słuchała chciwie, w końcu zaś rzekła:

- Więc ona aż do spotkania się z tobą żyła w przekonaniu, że ukochany przez nią człowiek był dotknięty obłędem?...

-Tak.

- I dopiero od ciebie dowiedziała się, że to jest kłamstwo? Że wszystko zmyślił Culmer?... Boże, jakie to okropne!

Zamilkła. Otworzyła szeroko oczy; na twarzy jej malowało się przerażenie.

- Gdybym ja uwierzyła temu, co o tobie mówiono...

Rzuciła mu się na szyję.

- Nie! Nie! Ja bym nigdy nie uwierzyła! Nigdy!..

- Tuliła się do niego cała drżąca. Bezskutecznie usiłował uspokoić ją pocałunkami.

- Ja od ciebie nie uciekłam... I nie pójdę od ciebie nigdy... Choćbyś był najgorszy dla mnie. Ale ty?...

- Nie wierzysz we mnie?...

- Ja? W ciebie?.. Nie ma nic na świecie, co by mogło moja wiarę zachwiać. Ale... Ale jeżeli ciebie stracę? Ja już nie będę mogła żyć!

- Dlaczegoż masz mnie stracić?

- Ja wiem, że to nie ma sensu. ale znów się boję o ciebie...

- Bądź spokojna, kochanie. Mnie już nic nie grozi.

Drzwi się uchyliły i wpadł Piorun.

Z oznakami szalonej radości rzucił się ku panu i z widoczną rozkoszą przyjmował jego pieśczęty. Twardowski wskazał mu Wandę.

- Przywitaj swoją panią. Rozumiesz, to twoja pani.

Pies zwrócił się do niej i położył łeb na jej kolanach. Twarz dziewczyny rozjaśniła się.

Wzięła łeb Pioruna w swe ręce, przytuliła do twarzy i pocałowała.

- Co ty robisz, Wandeczko? - zawołał Twardowski.

- To za ten gramofon - odpowiedzialna. - Gdyby nie on... Boże. ja o tym myśleć nie mogę...

- Nie trzeba myśleć o tym - rzekł Twardowski. - Nie trzeba, kochanie. Wiele strasznych rzeczy mogłoby nas spotkać, gdyby... gdyby nie to, że nas nie spotkały.

Trzeba iść przez życie i walczyć z wiarą w zwycięstwo, a zwycięstwo przyjdzie. Ja nie jestem z tych, którzy są bici... Mam pewność, że prędzej czy później zwyciężę.

Wpatrzyła się w niego. Widział w jej oczach, że pod wpływem słów jego i w nią wiara wstępuje. Twarz jej zaczęła się rozjaśniać. .

- Wiesz, mamusia, gdy się dowiedziała, że mam być twoją żoną, powiedziała: „będziesz szczęśliwa za siebie i za mnie”.

Odprowadził ją do drzwi jej pokoju i żegnając się z nią, spostrzegł, że u pani Czarnkowskiej jeszcze się świeci...

Rozdział XXX

Rano Twardowski, wróciwszy ze zwykłej przechadzki, zastał Wandę w hallu. Siedziała beczynnie, zamyślona. Gdy otworzył drzwi, drgnęła tak silnie, że go to uderzyło. Wydało mu się, że przywitała go chłodno. Wziął ją pod rękę i poprowadził na śniadanie. Siedli naprzeciw siebie.

- Moja matka pojechała do kościoła - rzekła jakimś dziwnym tonem, w którym było coś więcej, niż stwierdzenie zwykłego faktu.

Zauważył, że nie powiedziała „mamusia”.

- Umówiła się wczoraj z proboszczem - przypomniał.

Popatrzyła na niego długo. Źrenice jej oczu były nienormalnie rozszerzone.

- Tak - mówiła raczej do siebie - spowiada się z jednego grzechu, za który pokutuje męczarnią całego życia...

Po chwili milczenia dorzuciła:

- Życie jest okrutne... bezlitosne...

Znów zamilkła. Nagle zwróciła się do niego:

- Powiedz mi, dlaczego nam zawczasu nie mówią, co to jest życie?...

Dlaczego ukrywają przed nami, że jesteśmy skazane na mękę?..

Przeraził się. Ta dziewczyna, z której zawsze tryskała zdrowa energia, naraz zmieniła się w kłębek zmęczonych nerwów.

- Nie, moje serce - rzekł prawie po ojcowsku - życie nie jest męką. Ono jest walką i w tym tkwi wielki jego urok. Spadają na nas ciosy, ale nie trzeba się pod nimi uginać.

- Mylisz się - odparła. - Ja nie mówię tak, dlatego że mi ojciec umarł...

Znów zauważył, że nie powiedziała „tатko”.

- Nie. To dla mnie ból wielki, ale go przewyciężyłam i on mnie nie złamie. Od małego dziecka wiedziałam, że ludzie muszą umierać i że często umierają za wcześniej, jak moja rodzona matka. Są rzeczy gorsze niż śmierć...

W rozszerzonych źrenicach jej oczu migotał blask niezdrowy.

- Patrz na tę kobietę - mówiła dalej głosem drżącym - na moją, przybraną, matkę. Co Ona przeszła! Co cierpi nieustannie... I cierpieniu temu nie ma końca... Tylko śmierć.

Nie umiał na to nic odpowiedzieć.

- A ja... - zawołała. - Ja nie popełniłam jej błędu, nie uciekłam od ciebie... powinnam być szczęśliwa. Tymczasem...

- Co? - zapytał przestraszony.

- Boże, jak ja się męczę!.. Ten strach, że mogę cię stracić... Nie wiem, czy boje się więcej o ciebie, czy o siebie. Bo gdybym ciebie straciła, już nie miałabym sił do istnienia...

W głosie jej nie było czułości, ale jakaś rozpaczliwa beznadziejność.

- Ależ, dziecko, przecież uwierzyłaś, że mi już nic nie grozi.

- Tak, powiedziałaś mi to i uspokoiłaś mnie. Ale nie na długo... Dziś nie spałam, całą noc prześladowało mnie poczucie, że jesteś otoczony niebezpieczeństwami. Cóż ja na to mogę poradzić!... Dopiero teraz dowiaduje się, co to jest nie odstępujący człowieka strach, smutek, przygnębienie...

Słuchał jej z niewymownym bólem, z bólem matki, siedzącej przy łóżku mającego w gorączce dziecka. Jednocześnie nie przestawał myśleć. To było niepojęte. Śmierć ojca, którego bardzo kochała; odkrycie tragicznej tajemnicy przybranej matki, którą kochała bodaj jeszcze więcej – to wszystko nie tłumaczyło przerażającej w niej zmiany. Nieraz przemknęła mu przez głowę myśl. Myśl śmiała, niejeden by powiedział - nedorzeczna... Dla niego jednak, ocierającego się od szeregu lat o zjawiska, których jedni nie uznają, gdy inni uważają je za nadprzyrodzone, myśl ta nie wybiegała poza kres rzeczy możliwych. Niezwykłych – tak, ale możliwych.

Wstał, podszedł do niej, pocałował ją w czoło.

- Chodź ze mną w pole - rzekł. – Tu, w domu duszno.

Wyszli do sieni. Naraz zatrzymał się.

- Nie widziałaś jeszcze biblioteki - rzekł.. Chcesz wejść na chwilę?

Poszła za nim.

- Otworzył drzwi i wprowadził ją. Zatrzymali się na środku wspaniałej sali.

Rozglądała się szeroko otwartymi oczyma, on zaś uważnie patrzył na nią.

Nagle drżącą ręką uczepliła się go.

- Chodźmy stąd - wyszeptala - zabierz mnie... Coś strasznego ze mną się dzieje, ja tu zwariuje...

Wyprowadził ją do hallu, stamtąd do przedpokoju. Pomagał jej włożyć płaszcz, zadzwoniwszy przedtem na Antoniego.

- Gdzie Piorun? - zapytał - idziemy w pole.

Za chwilę wpadł pies i Antoni poprowadził ich ku wyjściu.

Dziewczyna przyglądała się, jak stróż odryglowywał furtkę.

Gdy znaleźli się za bramą, zwróciła się do niego z odcieniem ironii w głosie:

- To dlatego dom tak zamknięty i tak strzeżony, że ci nic nie grozi?...

- To dawny zwyczaj, z czasów stryja; jeszcze go nie zmieniłem...

- Proszę cię na wszystko, nie zmieniaj go...

Szli długo polną drogą w milczeniu. Wreszcie dziewczyna zaczęła mówić głosem już znacznie spokojniejszym:

. Ty pewnie myślisz, że jestem trochę wariatka. Nie protestuj, ja sama siebie pytam, czy to nie szaleństwo. Nie wmawiaj jednak we mnie, że wszystko, co się naokoło mnie dzieje, jest proste, naturalne i zrozumiałe. Ojciec mój umarł niespodzianie, zapewne przyśpieszyły mu śmierć te przejścia z majątkiem... To jeszcze można zrozumieć. Matka kochała twego stryja, a wyszła za mego ojca, bo ją okłamano, że jej ukochany jest szaleńcem. Dlaczego to zrobiono, w jakim celu?... Dlaczego twój stryj zamknął się w Turowie, w domu ogrodzonym jak klasztor, strzeżonym, jak więzienie! Dlaczego ciebie prześladowają oszczerstwami prawie od chwili, kiedy się pokazał w Warszawie!... A zamachy na twoje życie? Czy one były tylko w związku ze sprawą Zbychowa?... A ten Culmer, skąd on się wziął? Co on znaczy? Dlaczego taki nikczemny Żyd ma tyle zaufania u ludzi?... Czy to wszystko jest proste, naturalne?...W mojej biednej głowie nie może się to pomieścić. Można stracić rozsadek...

Nie mógł zaprzeczyć, że dziewczyna mówi z sensem.

- Masz, kochanie, słuszność - rzekł. - Moja wina, że ci wszystkiego nie powiedziałem. Nie miałem wszakże prawa odsłaniać przed tobą tajemnicy pani Czarnkowskiej, która się z tym wszystkim ściśle łączy. Dziś, kiedy ją już znasz, mogę ci wszystko powiedzieć.

Wyłożył jej historię swego stryja podobnie, jak mu ja niedawno wykladał ksiądz Rybarzewski. Zakończył swoimi przejściami z Culmerem i ogólnikowo ją powiadomił o walce prowadzonej z nim i grabarzami.

Słuchała chciwie, ale z coraz większym spokojem. Gdy skończył, rzekła:

- To wszystko jest dla mnie takie nowe i dziwne, że nie uwierzyłabym, gdybym nie od ciebie to słyszała. Ale, mój drogi, sam mówisz, że tych grabarzy jest mnóstwo. Więc to jest walka na całe życie!...

- A gdyby nawet!...

- Nic. Tylko chce wiedzieć, chce zrozumieć obowiązki twojej żony. Teraz, gdy wiem, co mnie czeka, jestem spokojna.

Była istotnie prawie spokojna. Wyglądała już inaczej, niż rano przy śniadaniu. Znać było jeszcze na twarzy ślady nieprzespanej nocy, oczy były podkrążone, źrenice nie wróciły jeszcze do normalnych rozmiarów, ale już nie było w nich tego chorobliwego, nerwowego blasku, zaczynała patrzeć z nich zdrowa energia.

Twardowski z radością stwierdził te zmiany i ciągle myślał jak lekarz obserwujący pacjenta. Uderzyła go inna jeszcze zmiana.

Wandeczka, ten żywy, tryskający energia dzieciak, raz powtarzający głupstwa, których napakowano mu w głowę. to znów rzucający oryginalne i dowcipne uwagi, czarująca w szczerości, podbijająca świeżym urokiem, ta Wandeczka znikła bezpowrotnie. Koło niego szła dojrzała kobieta. myśląca o swych obowiązkach i o odpowiedzialnościach, które na siebie bierze, silna moralnie, gotowa stanąć oko w oko z rzeczywistością życia. Porównywał je obie i nie żałował tamtej. Urok tej był mniej błyskotliwy. Ale stokroć trwalszy. Pierwszy raz poczuł naprawdę, że jest związany z nią na zawsze.

Gdy wrócili do domu. pani Czarnkowskiej jeszcze nie było. Czekali z pół godziny nim wróciła. Wyspowiadała się, wysłuchała mszy, po czym zaprosiła się do księdza Rybarzewskiego na kawę i przesiedziała u niego do południa. Mówiła o proboszczu z uwielbieniem.

- Jak ja panu dziękuję, że nas pan tu zaprosił! Ten ksiądz, jaki on mądry, jaki dobry! To wielki lekarz dusz ludzkich!... Nigdy nie myślałam, że tacy są na świecie. Ja już nie chce mieć innego spowiednika. Jeżeli mnie pan stąd wypędzi - rzekła ze smutnym uśmiechem - zostanę babą przy jego kościele.

Twardowski podszedł do niej, pocałował ją w rękę mówiąc:

- Dom ten jest domem pani.

I dodał po cichu:

- Więcej, niż moim.

Wzięła jego głowę między swe dłonie i pocałowała w czoło.

- Mnie już nic więcej nie potrzeba i życie nic mi już dać nie może.

Po śniadaniu Wanda z polecenia Twardowskiego poszła do siebie odpocząć po nieprzespanej nocy.

Przed wieczorem Twardowski pojechał do miasteczka po doktora, żeby go przywieźć na obiad. Wracając z nim do Turowa, opowiedział mu pokrótce historię pani Czarnkowskiej i swego stryja, żeby się czasem doktor, nie świadomy rzeczy, nie wyrwał z czymś, co by mogło zabołeć biedną kobietę.

Z przykrością dowiedział się od Wandy, że nie mogła zasnąć i spostrzegł, że znów wygląda gorzej.

Przy obiedzie ratował sytuację proboszcz, który mówił więcej niż wszyscy inni razem. Chwilami udawało mu się nawet wywołać uśmiech na smutnych twarzach pani Czarnkowskiej i Wandy.

Pod koniec obiadu Wanda przyznała się, że całą noc nie spała.

- Czy to się pani często zdarza? - zapytał doktor.

- Właściwie nigdy. Czasem, gdy miałam o czym myśleć, długo nie mogłam zasnąć. Ale pierwszy raz zdarzyło mi się nie spać do samego rana.

- Żałuję, że nie przywiozłem z sobą podręcznej apteczki...

- Daj doktor spokój ze swoją apteczką! - zawołał ksiądz. - Taką młodą osobę, taką chodzącą świeżość truc waszymi paskudztwami!

W tej chwili Antoni zaczął nalewać stary tokaj, który niegdyś księdzu tak zaimponował. Chciał zacząć od pani Czarnkowskiej, ale i ona i po niej Wanda odmówiły.

- Tego palli musi się napić - rzekł ksiądz do Wandy. - To jest najlepsze lekarstwo. Na pewno pani po nim będzie dobrze spała.

- Ależ ja wina nie lubię i nigdy go nie piję.

- Właśnie dlatego. Jeżeli ono, nam starym pijakom, sen przynosi, to cóż dopiero osobie nie przyzwyczajonej! Doktorze, powiedz swoje słowo!

- Ja tylko mogę zalecić - rzekł doktor.

Ksiądz próbował namówić i panią Czarnkowska, ale ta się stanowczo oparła.

Dziewczyna, spotkawszy się z zachęcającym wzrokiem narzeczonego, podniosła

z niedowierzaniem kieliszek do ust i zatrzymała go przy ustach. Patrząc na Twardowskiego, ciągnęła powoli szlachetny napój, aż wysączyła kieliszek do dna.

- Proszę mi dolać! - zawołała, wywołując przestרח na twarzy pani Czarnkowskiej.

- Brawo! - zawołał ksiądz. - Ale to będzie ostatni. Więcej pani nie damy.

Dziewczyna wolniej już zaczęła ciągnąć wino z drugiego kieliszka, nie odrywając oczu od narzeczonego, jakby pytając, czy aprobeje jej nadużycie.

Twardowski widział, że odbywa się w niej walka między jego wpływem, wlewającym w jej duszę wiarę i spokój i odwagę do Życia, a innym - wiedział już skąd pochodzącym, który budzi w niej niepokój i nastraja ją na beznadziejny smutek. Na kieliszek wina przy jej ustach patrzył, jak na swego sojusznika.

Wysączyła go do dna i wstała.

- A teraz dobranoc państwu - idę spać.

Widoczne było, że w głowie jej się trochę kręci.

Pani Czarnkowska też się pożegnała i razem wyszły.

Twardowski naraz uczul wstręt do myślenia na trzeźwo. Zachciało mu się pić aż do upojenia.

Wychylił do dna swój kieliszek i sięgnął po butelkę.

- Nie rozumiem, skąd ta nagła bezsenność u panny Czarnkowskiej - rzekł doktor.

- Nie sprawia wrażenia osoby z natury bardzo nerwowej.

- Bo nią nie jest - odrzekł Twardowski. Ale wy nic nie pijecie. Chciałbym sobie dolać, a muszę czekać na was.

Ksiądz patrzył na niego badawczo.

- Cóż to się z panem dzieje? - zapytał. - Zaczyna się pan kochać w węgrzynie?..

- Chce dziś pic i chciałbym żebyście wy byli mniej trzeźwi.

- A to dlaczego?

- Bo życie jest mniej trzeźwe niż wam się zdaje.
Ksiądz wytrzeszczył oczy. Od początku uważał Twardowskiego za najtrzeźwiejszego człowieka na świecie.
Gospodarz napełnił wypróżnione kieliszki i zadzwonił na Antoniego. Kazał podać kawę w bibliotece i przynieść nową butelkę wina.
- Niech ksiądz patrzy na doktora - mówił.- Męczy go pytanie dlaczego moja narzeczona spać nie może i na trzeźwo nie umie znaleźć odpowiedzi. Ale może by ją znalazł, gdyby wypił trochę...
- Alkohol tylko osłabia zdolność myślenia - zaproponował doktor.
- Nie zawsze, nie o wszystkim... Ale wy nic nie pijecie.
Znow zmusił ich do wysuszenia kieliszków i znow ponalewał.
Ksiądz mu się przypatrywał z rosnącym zdziwieniem.
- Pani Czarnkowska - rzekł Twardowski - chce już tu pozostać. Powiedziała żartem, że jeżeli będę chciał jej się pozbyć, to zostanie babą przy tutejszym kościele.
Ksiądz smutnie się uśmiechnął.
- Biedna kobieta - rzekł po cichu.
I dodał głośno: .
- Dlaczegoż by pan chciał jej się pozbyć?
- Jej nie... - mówił powoli Twardowski. Ale gdyby nie wzgląd na nią, narzeczoną moją wywiózłbym dzisiaj.
I ksiądz i doktor szeroko otworzyli oczy. Twardowski mówił dalej:
- Ona tu nigdy spokojnie spać nie będzie. To dom niepokoju i rozpacz. Jest zbyt wrażliwa i nie umie się przeciw niemu bronić...
Antoni zawiadomił, że kawa podana.
- Chodźmy do biblioteki - rzekł gospodarz i poprowadził gości.
Przed kominkiem, w którym ognia nie było, stała na stoliku kawa i butelka wina.
- Za wiele światła – rzekł Twardowski.
Pozmniejszał światło elektryczne, zostawiając tylko jedna lampę nad kominkiem. Oświetlała ona ich stół, zostawiając resztę sali w mroku. Nalał kieliszki i swój podniósł w górę.
- Wypijcie ze mna zdrowie mej narzeczonej. Zapewniam was, że ona na to zasługuje i że tego jej potrzeba w tej chwili.
Wypili do dna i usiedli dokoła stolika.
- Jak wiecie - mówił dalej - w tym pokoju biedny mój stryj ciągle przebywał przez ostatnie dziesięć lat swego życia. Chodził po nim, jak więzień po celi, miotany niepokojem i rozpaczą, chodził wielkimi krokami tam i z powrotem, tam i z powrotem...
Ksiądz i doktor zasępił się. Odżyły w nich smutne wspomnienia.
- Pijcie! – zawołał gospodarz – to jego wino. Gromadził je dla przyjaciół, którzy pić mogą i umieją... On was obu kochał i cieszyłoby się widząc was tu razem...
Posłusznie pili w milczeniu, a on ciągle dolewał.
Antoni uchylił drzwi, wpuścił Pioruna i sam zniknął. Pies, jakby szanując milczenie obecnych, ułożył się spokojnie u nóg pana. W bibliotece zaległa cisza... Nie dochodził do niej najmniejszy szmer ani z wewnątrz domu, ani ze świata...
Wszyscy trzej pogrążeni byli w smutnej zadumie.
Nagle przerwały ciszę wypowiedziane półgłosem słowa doktora:
- Ktoś jest w tym pokoju...
- Prócz nas niema nikogo - odparł Twardowski.
- Wyraźnie słyszę kroki ludzkie.

- A ksiądz słyszy? - spytał Twardowski.
- Tak jest, słyszę.
- Długie kroki - cicho mówił gospodarz - od ściany do ściany, tam i z powrotem, tam i z powrotem, prawda?.. Patrzcie, i pies słyszy.
Spojrzeli na Pioruna, który nastawił uszy i niespokojnie nasłuchiwał.
- Co to może być? - spytał ksiądz.
- To są kroki mego stryja...
Drgnęli obaj, zaniepokojeni zarówno krokami, które słyszeli, jak słowami gospodarza.
- Czy nie macie uczucia, że tu się dzieje coś niesamowitego?
Milczeli ciągle.
~ Ja nie wiem - rzekł wreszcie doktor - czy słyszę te kroki w pokoju, czy w swojej głowie,
- Ale i my je słyszemy - rzekł Twardowski - i pies widocznie je słyszy,
- Pan wierzy w duchy chodzące po świecie? - zapytał ksiądz z niepokojem.
~ Nie.
- A więc co tu się dzieje?,,,
Twardowski podniósł palec do góry - zaległa cisza. Wszyscy wpatrywali się w mrok wielkiej sali. Wszyscy chwyтали ledwo dosłyszalne kroki, tam i z powrotem, tam i z powrotem. .
- Pijcie! ~ zawołał Twardowski. - Widzicie, że świat nie jest taki trzeźwy, jak wam się zdaje. Tylko wy jesteście za trzeźwi...
Tym razem pili chętniej, niż poprzednio. Coś chcieli w sobie zgłuszyć.
- Niech pan powie od razu - rzekł prawie z gniewem doktor - co pan tu urządził?
- Oto człowiek trzeźwy! - zawołał Twardowski - tą trzeźwością, której nas uczą od kilku pokoleń, która nic nie chce wiedzieć poza tym, co jej pięć zmysłów przynosi. Tak, panie doktorze, ma pan prawo powiedzieć, że pan nie słyszał żadnych kroków, bo one nie przez ucho doszły do pańskiej świadomości.
- A przez co? - spytał ksiądz.
- Przez mózg, przez system nerwowy.
- Nie rozumiem. Wyraźnie je słyszałem.
- Wszyscy słyszeliśmy. I powiadam wam, że to są kroki mojego stryja. Grzegorz, który nieraz widział go chodzącego po bibliotece, poznał je od razu.
- Jakże pan to tłumaczy? - zapytał doktor.
- Zbyt potężne uczucia szarpały duszę nieszczęśliwego człowieka, gdy mierzyl krokami tę salę, zbyt potężne, żeby nie pozostawić po sobie śladu... Nie myślcie, żeby duch ludzki nie był zdolny wyciskać śladu na martwych przedmiotach, śladu tak silnego, że ten z kolei działa na mózgi, na systemy nerwowe innych ludzi... W tej oto postaci przychodzi do nas echo jego cierpień...
- Jestem pijany - rzekł doktor.
- Nareszcie! - zawołał Twardowski. Wic pijmy dalej...
Ksiądz spojrział na zegarek.
- Mnie już nie wolno - rzekł. - Musze jechać do domu.
Wstał, wyciągnął rękę do gospodarza i rzekł:
- Dziwny dom i dziwny z pana człowiek. Będziemy o tym mówili, ale całkiem na trzeźwo.
- Wątpię, czy na trzeźwo uda się nam dogadać - zauważył doktor.

- Doktor powiedział, że jest pijany - rzekł z uśmiechem Twardowski. – Proszę choć po pijanemu zrozumieć, dlaczego biedna dziewczyna nie może spokojnie zasnąć w tym domu.

Ksiądz odjechał swoimi końmi, doktora zaś odwiózł samochód gospodarza.

Twardowski z nieodstępnym Piorunem poszedł do siebie. Rozbierając się, łamał sobie głowę nad nierozwiązalnym problemem. Chciałby wywieźć Wandę z Turowa, widząc, że się męczy w domu jego stryja. Nie mógł namawiać pani Czarnkowskiej na wyjazd wobec tego, co od niej usłyszał. Tymczasem zaś nie mogło być mowy o rozdzieleniu dwóch kobiet. Trzeba najpierw wziąć ślub z Wandą.

Rozdział XXXI

Przez kilka dni następnym głównym zajęciem Twardowskiego było wyszukiwanie rozrywek dla Wandy, którą ciągle prześladowały myśli smutne i trawił niepokój. Starał się, żeby jak najmniej przebywała w domu. Wyciągał ją na przechadzki po polach i po lesie, pokazywał jej gospodarstwo, jeździli konno lub robili dalsze wycieczki samochodem. .

Raz, wracając z takiej wycieczki, wstąpili do proboszcza. Gospodarz zatrzymał ich na podwieczorek, więc odesłali samochód do domu z zamiarem wracania pieszo.

Ksiądz by bardzo pogodny i rozmowny; jego dobry humor zdołał prawie rozweselić dziewczynę, za co mu Twardowski był niezmiernie wdzięczny. Zaledwie gospodarz na plebanii czerstwa starowina wniosła słynną swoją kawę z wiejskim chlebem, ujrzeli przez okno wracający samochód, a w nim panią Czarnkowską.

Ksiądz wybiegł ją powitać.

Weszła do pokoju ze zwykłą smutną powagą, ale Twardowski wyczytał w jej oczach niezwykle podniecenie.

- Marek mi powiedział. - rzekła na wstępie - że jesteście u księdza proboszcza, więc przywiozłam wam wiadomość: Culmer nie żyje...

Gdyby pani Czarnkowskiej chodziło o wywołanie efektu, mogła być zadowolona.

Wszyscy, nie wyłączając księdza, znieruchomieli.

- Nareszcie! - zawołała Wanda z widocznym uczuciem ulgi.

Matka dziwnie na nią spojrzała.

- Został zamordowany... - rzekła cichym głosem, patrząc na Twardowskiego.

Oczy Wandy i proboszcza również zwróciły się na niego.

Poczuł, iż wszyscy troje myślą, że on coś wie o tym.

- Skąd ta wiadomość? - zapytał;

- Telefonował z Warszawy mecenas Osiecki. Wrócił świeżo z sądu. Tam się rozeszła wieść, że dziś w południe policja, wezwana do mieszkania Culmera, zastała tam jego i jego służącego - obu zamordowanych. Sprawcy niewiadomi.

- W jaki sposób ich zamordowano? - pytał dalej Twardowski.

- Tego pan Osiecki nie wiedział. Trzeba czekać na gazety.

Zaległa cisza. Po chwili przerwał ją ksiądz:

- Kara boska go dosięgła. Nie mogę wszakże powiedzieć, żebyśmy się z tego cieszyli.

Gdy nikt ust nie otworzył, mówił dalej:

-Jest to nie zawodnie akt zemsty ..., czyn niegodny chrześcijanina. Morderstwo, bez względu na to, kto jest jego ofiarą, jest zbrodnią. Dałbym wiele, żeby to się nie stało...

Twardowski czuł, że proboszcz go oskarża jako pośredniego sprawcę zbrodni. Nie miał czasu na to odpowiedzieć, gdy Wanda z niezwykłą namiętnością napadła na księdza:

- Jak to! Wiec człowiek, na którego życie zbrodniarz czyha i czyni zamachy, nie ma prawa zabić go dla ratowania swego życia?...

Twardowski oślupiał. Wiec i Wanda myśli, że on jest sprawcą morderstwa Culmera. Tylko go nie potępia, ale broni... Nie mógł się zdobyć na żal do niej za to posądzenie - stokroć silniejsze wrażenie robiła obrona. Tak postępuje kobieta, która naprawdę kocha.

Pani Czarnkowska patrzyła na Wandę ze zrozumieniem. Ona by to samo powiedziała, gdyby Alfred zabił swego prześladowcę...

Ksiądz nie czuł się dotknięty słowami dziewczyny. Widać było, że ją też rozumie. Był jakiś dźwięk przyjacielskiego współczucia w słowach, z którymi się do niej zwrócił.

- Proszę pani, człowiek ma prawo zabić człowieka tylko w bezpośredniej obronie swego życia. Gdy sam napada na niego, popełnia zbrodnię. W tym położeniu można go nieco łagodniej sądzić, ale sądzić trzeba.

Odtąd rozmowa już się nie kleiła. Ksiądz zrobił się zimny, dość niezgrabnie starał się być jak najgrzeczniejszym gospodarzem, ale nie umiał się pozbyć sztywności.

Twardowski wstał, a za nim panie.

- Jutro - rzekł do proboszcza - pozwoli ksiądz, że pomówię z nim o tej sprawie....

Nad ranem wysłał Marka limuzyna do Warszawy, żeby nie czekać długo na gazety. Trzeba się więcej dowiedzieć.

Pożegnali się prawie oficjalnie.

- Ksiądz jest przekonany - odezwał się Twardowski w samochodzie - że jestem sprawcą morderstwa Culmera. Nie dziwie mu się.

Żadna z obu kobiet nie odpowiedziała na to bezpośrednio.

- Gdy usłyszałam - rzekła Wanda - że ten nikczemnik nie żyje, wolniej odetchnęłam. Już nie popełni żadnej zbrodni...

Pani Czarnkowska odezwała się:

- Ja się będę modliła za tego, który go zabił...

Szofer dostał polecenie, żeby o piątej rano pojechał do Warszawy i przywiózł kilka dzienników.

Wieczorem, przy obiedzie, rozmową kierowała pani Czarnkowska. Zastanawiała się nad tym, jakie wrażenie w Warszawie musiała wyrzeć tragiczna śmierć mecenasa, który miał tak rozległe stosunki. Robiła to z wyraźnym zamiarem. Rozumiała, iż śmierć Culmera jest wypadkiem tak ważnym dla wszystkich trojga, że nie można mówić o niczym innym. Nie chciała zaś najwidoczniej mówić o samym wypadku, o sprawcach morderstwa, wiec mówiła o jego możliwych odgłosach.

Zaraz po obiedzie poszła do siebie, zostawiając Twardowskiego z Wandą samych w hallu przy czarnej kawie.

Dziewczyna wcisnęła się w fotel skulona, jakby zbита. Rzuciła co chwilę na Twardowskiego spojrzenia niepewne, bojaźliwe. Widział jej niepokój i myślał tylko o tym, jak go rozproszyć. Przysunął się z fotelem do niej i biorąc ją za rękę, rzekł:

- Nic mi już teraz nie grozi. Najgorszy mój wróg nie żyje. Po cóż więc się niepokoić?..

- Tak - odparła - jego się już nie boję... Ach, jak ja bym chciała nikogo i niczego się nie bać, tylko...

- Tylko?..

- Ciebie.

- Myślałem, że żartujesz, gdy mówisz, że mnie się boisz.

- Wtedy może trochę żartowałam, ale teraz nie. Nie martw się, mnie z tym dobrze. Życie jest takie straszne, że tylko z tobą mogę pójść przez nie... Bo tyś taki mocny, bardzo mocny. Ale twoja moc budzi lęk we mnie...

Zdawało mu się, że rozumie stan jej duszy.

- Broniłaś mnie dziś wobec proboszcza. Więc naprawdę uważasz, że miałem prawo zabić Culmera?

- Nie pytaj mnie o to. Ja nie chce zastanawiać się, czy miałeś prawo czy nie. Wszystko, co zrobisz, będzie dla mnie dobre i zawsze cię bronąć będę. Gdybyś nawet co złego zrobił...

Pochylił się ku niej, objął ramieniem i zaczął całować jej czoło, oczy, usta...

- Ja... tobie... coś złego?... Dziecko, dziecko ty nie wiesz jeszcze, jak ja cię kocham... A ja już wiem, jak ty mnie kochasz – zrozumiałem, gdy broniałaś mnie jako mordercę.

Tuliła się do niego, czuła drżenie całego jej ciała.

- A ksiądz Rybarzewski miał słusność - szeptał jej do ucha.

Odsunęła się nagle i spojrzała mu w oczy.

- Miał słusność - rzekł głośno. - Ja tak samo, jak on, myślę. Mógłbym zabić Culmera czy innego łotra w walce o swe życie lub w czyjejs obronie, ale tak na zimno, z rozmysłem...

- Więc?...

- Nic o tym zabójstwie nie wiem i nie domyślam się nawet, kto jest jego sprawcą. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Pierś jej się uniosła i odetchnęła, jakby spadł z niej wielki ciężar. W oczach ukazały się łzy, opadła bezwładnie w głąb fotela i zakryła sobie twarz dłońmi.

Twardowski usiadł na porzeczy i pochylił się nad nią.

- Teraz już mnie się nie boisz, prawda?..

Podniosła ku niemu twarz, na której poprzez łzy ukazał się ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Boje się - szepnęła - ale inaczej.

- A jednak - rzekł po chwili - jaki ja byłem szczęśliwy, słuchając twej obrony!...Ona cię więcej kosztowała, niż ci się zdawało. Staralaś się rozumować na moją korzyść ale w głębi twej duszy buntowały się instynkty, odziedziczone po szeregu cywilizowanych pokoleń. One są silniejsze od wszelkiego rozumowania... Tylko twoja miłość dla mnie mogła je przemóc. Tak, moje życie, umiesz kochać!

- A ty?...

Nic nie odpowiedział, tylko usta swoje do jej ust przycisnął...

- Ktoś tu jest w pokoju - wyszeptała Wanda i odsunęła się od niego.

W hallu nie było nikogo.

Dziewczyna rozglądała się zdziwiona i niespokojna.

- Idź, dziecko, spocząć - rzekł Twardowski. W tym domu nie będziemy mieszkali. On pozostanie jego domem... domem niepokoju i rozpacz, w którym szczęście już nie zamieszka.

Popatrzyła na niego dziwnie, jakby odgadywała myśl w jego słowach zawartą. Rano siedzieli we troje przy pierwszym śniadaniu, niecierpliwie czekając na powrót Marka z Warszawy, gdy Antoni zaanonsował:

- Ksiądz proboszcz.

Na twarzy wchodzącego księdza malował się głęboki smutek. Z gospodarzem przywitał się bardzo serdecznie i pokornie. Nie było w nim nic z surowego sędziego dnia wczorajszego, przeciwnie, jakby starał się, żeby mu zapomniano wczorajsze zachowanie się.

- Przepraszam - rzekł - za wczesne najście. Nie miałem cierpliwości czekać: przyszedłem po wieści z Warszawy.

- Jeszcze nic nie wiemy - odrzekł Twardowski. - Marek lada chwila winien wrócić.

Nie upłynęło kilka minut, gdy Antoni wniósł dzienniki, przywiezione przez szofera. Wszyscy rzucili się na nie.

Od razu wpadły w oczy wydrukowane wielkimi literami sensacyjne nagłówki, po których następowały długie opisy zbrodni. Nagie fakty, odarte ze zwykłej frazeologii reporterskiej, przedstawiały się niezwykle.

Przed południem poprzedniego dnia jeden z komisariatów policji warszawskiej został zaalarmowany telefonem. Służący mecenasa Culmera zawiadamiał, że jego pan został przed chwilą zamordowany, że widział uciekającego mordercę i poznał go. Nagle rozmowa się ucięła i gdy próbowano ją nawiązać, telefon mecenasa nie odpowiadał. Policja pośpieszyła na miejsce i, zastawszy drzwi uchylone, weszła do mieszkania. W gabinecie mecenasa zastała dwa trupy: pana i służącego. Mecenas był uduszony; na szyi widoczne były ślady palców mordercy. Służący był powalony uderzeniem w skroń, zdaje się po prostu pięścią. Słuchawka telefonu wisiała: widocznie zabito go w trakcie rozmowy. W mieszkaniu nie znaleziono żywej duszy. Dopiero po upływie kilkunastu minut kucharka, a po niej pokojówka wróciły z miasta.

Twardowski doczytywał opis, który kończył się wyrażeniem zdania, że morderca musiał być człowiekiem niezwyklej siły fizycznej.. Przemknęła mu przez głowę myśl i zdrętwiał. Spojrzał na księdza Rybarzewskiego. Ten patrzył w ziemię, a twarz miał jak zamurowaną.

W pokoju panowała cisza, nikt nie wyrzekł jednego słowa. Twardowski trzymał w ręku dziennik, w który włożył sporo pieniędzy i który uważał po trosze za swój organ. Zaczął go przeglądać machinalnie, gdy jego oko padło na tytuł: „Ś. p. Henryk Culmer. Wspomnienie pośmiertne o zamordowanym mecenasie”. Pomyślał - ciekawa rzecz, co oni mogli napisać...Czytał i oczom nie wierzył. Artykuł był jednym panegirkiem: Culmer pochodził z zacnej rodziny; ojciec jego był wielkim, zasłużonym patriotą, on sam, zacnym obywatelem kraju, mądry prawnik, otoczony powszechnym zaufaniem i szacunkiem, śmierć jego jest niepowetowaną stratą, zwyrodniały morderca ugodził swym ciosem nie tylko jego, ale całe społeczeństwo...

Zerwał się wzburzony.

- A to hołota! - krzyknął.

Wszyscy spojrzeli na niego przestraszeni.

- Niech ksiądz to przeczyta!

Rzucił przed proboszcza gazetę.

Ksiądz się zagłębił w artykule. Doczytał go do końca i odkładając na bok gazetę, rzekł spokojnie:

-Tak, to niegodne. Nie wolno tak kłamać. Nie rozumiem nadto powodu: wszak nie należą do jego przyjaciół...

- Powód?.. - zawołał z wściekłością Twardowski. - Nikczemne tchórzostwo! Ponieważ pisali przeciwko niemu, więc boją się, żeby nie oskarżono ich o moralny przynajmniej udział w zabójstwie i ratują się wychwalaniem łotra...

Zadzwoił - wszedł Antoni.

- Powiedz Markowi, żeby za pół godziny był gotów. Jadę do Warszawy.

- Może lepiej - zauważył ksiądz z prośbą w głosie - żeby się pan teraz tam nie pokazywał...

- Muszę - odrzekł - inaczej wszystko mi popsują.

- Zabierz mnie ze sobą - prosiła Wanda.

- Nie, kochanie, nie będę miał tam chwili czasu dla ciebie. Cóż byś robiła sama w mieście? Dziś wieczorem wrócę.

Pożegnał się i poszedł przygotować się do drogi.

Ledwie się drzwi za nim zamknęły panna Czarnkowska zaatakowała proboszcza: - Zdaje mi się, że ksiądz od wczoraj zmienił zdanie.

Ksiądz popatrzył na nią :

- Tak jak pani – odrzekł spokojnie.

- Ja co innego. Ja z nim wczoraj cały wieczór rozmawiałam.

- A ja cały wieczór o nim myślałam.

- Cóż wy rozmawiacie jakimiś zagadkami - wtrąciła się pani Czarnkowska. - Nic nie rozumiem.

- Ksiądz proboszcz - wyjaśniła dziewczyna - był wczoraj przekonany, że zabójstwo Culmera to dzieło Zbigniewa i surowo go sądził.

- A panna Wanda - uzupełnił proboszcz - w tym samym przekonaniu zawzięcie broniła narzeczonego.

- To wy myślicie - zapytała zdziwiona kobieta, że Zbigniew w tym nie miał udziału?...

- Najmniejszego - odpada Wanda. - Dla niego wczorajsza wiadomość była tak samo niespodziewana, jak dla nas.

- Myślę, Wandeczko, że się mylisz - rzekła matka. On zawsze mówił, że jego zadaniem jest ukarać zbrodniarza, który zniszczył życie Alfredowi i nie tylko jemu. On miał prawo to zrobić i Bóg mu wybaczy.

Ksiądz patrzył na nieszczęśliwą kobietę ze współczuciem.

- Nie, mamusiu - odrzekła Wanda. . Zbigniew mi powiedział, że tak samo myśli, jak ksiądz proboszcz. Ja wczoraj tak mówiłam, jak mama dzisiaj, bo ja tak w niego strasznie wierze, że zawsze go będę broniła. Ale byłam ogromnie szczęśliwa, gdy mi powiedział, że on z tym nie ma nic wspólnego.

Ksiądz czule spojrział na Wandę.

- Ach, jaki to szczęśliwy człowiek ten pan Twardowski! Niech pani powie po prostu, że go pani strasznie kocha, a że jest pani prawdziwą kobietą, więc ta miłość nie pozwala pani sądzić, tylko każe bronić. I dobrze pani robi. Mówię to nie jako ksiądz, ale jako zwyczajny człowiek i przyjaciel, który pragnie, żeby pani była szczęśliwa.

Spojrziała wdzięcznie na proboszcza i zapytała z łagodnym wyrzutem:

- A dlaczego ksiądz był wczoraj taki surowy?...

- Ja sobie wyrzucałem, że jestem nie dość surowy. Przede wszystkim jestem księdzem i staram się być księdzem uczciwym. Nie mam potrzeby pani mówić, jak religia nasza sądzi zabójstwo. Po wtóre, jestem obywatelem cywilizowanego społeczeństwa. W co się zamieni życie tego społeczeństwa, jeżeli przyznamy jednostce ludzkiej prawo karania śmiercią krzywd swoich i nie swoich? Przecież w tym społeczeństwie nie wszyscy są naprawdę chrześcijanami i nie wszyscy są

cywilizowani moralnie: na najwyższych nawet stanowiskach spotyka pani ludzi z instynktami dzikimi, którzy, jeżeli nie mordują, to tylko dlatego, że się boją. Niech im pani da to prawo, to każde morderstwo uzasadnią jakimiś urojonymi krzywdami. Lepiej nie ukarać dostatecznie jednej krzywdy, niż otworzyć pole dla mnóstwa zbrodni...

- Ale ja was obie, drogie panie, rozumiem - dorzucił po chwili milczenia. Przyznajecie z pokorą, że się ucieszyłem, kiedy dowiedziałem się, że ten zbrodniarz nie żyje. Już nikogo nie zamorduje, powiedziałem sobie. I gdyby mi przyszło wydać wyrok na jego zabójcę, byłaby to najcięższa chwila w moim życiu... Kiedy już mam mówić szczerze, wyświadczam się z wielkiego grzechu: żyje dziś w strachu, żeby sprawca tego zabójstwa nie dostał się w ręce urzędowej sprawiedliwości.

- Niech go Pan Bóg strzeże! - zawołała pani Czarnkowska, która długo milczała, bo dowiedziawszy się, że to nie Twardowski zabił Culmera, musiała na nowo przemyśleć całą sprawę.

- Ale wobec tego, że Zbigniew jest obcy sprawie tego zabójstwa – zapytała Wanda - dlaczego mu ksiądz odradzał pokazywania się w Warszawie?

Proboszcz się nieco zmieszał i nie zaraz odpowiedział.

- Ja się o niego nie obawiam – rzekł po chwili. – Tylko on może mimo woli zaszkodzić innym. Niejeden człowiek cichy, żyjący w cieniu, miał porachunki z Culmerem. Niejeden z nich miał stosunki z panem Zbigniewem. Ten, jako człowiek znany, może przez swoją obecność w Warszawie zwrócić uwagę na kogoś, całkiem nawet niewinnego i przyprawić go o kłopoty, nie mówię o nieszczęście...

Wanda, wysłuchawszy tej mętnej odpowiedzi, doszła do przekonania, że proboszcz, gdyby chciał, mógł wyraźniej wypowiedzieć, co myśli.

Rozdział XXXII

Koło południa Twardowski zajeżdżał do swego warszawskiego mieszkania. Z pewnym zdziwieniem dowiedział się od Michała, że o dziewiątej rano zapytywał o niego telefonicznie profesor Paloma Oldelhuis. Jeszcze więcej się zdziwił, gdy usłyszał dalszy ciąg raportu. Pan profesor zapowiedział, że zadzwoni drugi raz podczas śniadania, koło drugiej, bo pan pewnie przyjedzie.

- O dziewiątej rano sam jeszcze nie wiedział, że będzie dziś w mieście: skądże mógł wiedzieć o tym holenderski profesor?... Domyślił się, że śmierć Culmera ściągnie go do Warszawy. Pewnie chce mówić o czymś w związku z tą sprawą. Ciekawa rzecz, co powie...

Kazał sobie przygotować śniadanie na pierwszą i zadzwonił do starego Grzybowskiego. Umówił się, że będzie u niego o trzeciej i że na wpół do czwartej Grzybowski ściągnie kilku przyjaciół, po czym wsiadł w samochód i pojechał do redakcji dziennika, który go rano wprawił w taką wściekłość.

Redaktor, dotychczas ogromnie przyjacielski i okazujący Twardowskiemu zrozumiałą respekt, przyjął go zimno, z widocznym zakłopotaniem.

Zaczął od tego, że jest niezmiernie zajęty, ma bardzo pilną robotę, a zaraz potem wyraził żal, że Twardowski niepotrzebnie przyszedł do redakcji, że wołałby sam przyjść do jego mieszkania. Jedno z drugim nie bardzo się kleiło.

- Nie mam za wiele czasu - rzekł Twardowski - przyjechałem do Warszawy na kilka godzin; czytałem dziś rano na wsi wspomnienie o Culmerze w waszym piśmie i

chciałbym, żeby mi pan wytłumaczył, co podyktowało panom ten panegiryk. Jak on się godzi ze stanowiskiem pisma, które walczyło z tym łotrem...

- Proszę pana - odparł sucho redaktor - myśmy prowadzili walkę piórem, ale nie chcemy mieć nic wspólnego z morderstwem.

- Któż żąda od panów, ażebyście mieli z nim cos wspólnego?...

Zamiast odpowiedzi redaktor, widocznie mocno zdenerwowany, mówił:

- Gdybyśmy przypuszczali, że to się tak skończy, nigdy byśmy tej walki nie zaczęli. Dziś położenie nasze jest bardzo niebezpieczne.

- Boicie się, że policja w was będzie widziała morderców Culmera?

- Nie o to chodzi. To nam nie grozi. Ale sam pan mówił przecież, że Culmer ma za sobą potężną organizację. Oni się będą mścili.

- Na was?

- Na tych, którzy są na widowni, a nie na tych, którzy się ukrywają.

- I żeby przebłagać mścicieli Culmera, wypisaliście tyle obrzydliwych kłamstw.

- Żeby się odgrodzić od ludzi, którzy wojują nie naszą bronią.

- Czy nie było innego sposobu?.. mniej uciążliwego pismu?... mniej poniżającego....

Redaktor zbladł. Głos mu zaczął drżeć w krtani.

- Proszę pana, ja dłużej z panem mówić nie mogę... Ja jestem odpowiedzialny za pismo, za jego redakcję i robię, co uważam za potrzebne, do zabezpieczenia...

- Swej skóry - przerwał mu Twardowski. - Żegnam pana.

Z tej rozmowy, z jej treści i tonu Twardowski wyciągnął kilka wniosków: redakcja jest w panicznym strachu; uważają jego wizyty za niepożądane, mogące ściągnąć na nich niebezpieczeństwo; widzą w nim sprawcę śmierci Culmera.

Podczas śniadania zadzwonił Oldenhuis. Prosił, żeby Twardowski przed zobaczeniem się z nim nie wyjeżdżał z Warszawy i przyrzekł przyjść o piątej.

Po śniadaniu Twardowski poszedł do Grzybowskiego. Starzec, witając się z nim, uściśnął mu rękę długo i mocno.

- Dawno pan przyjechał?

- Dziś w południe.

- To pan jeszcze nie wie, co się tu dzieje. Cała Warszawa się trzęsie... Ogromne wrażenie zrobiło sprzątniecie tego łajdaka.

- Musiało wywołać powszechne oburzenie...

- Tak... Ale ludzie dzisiejsi nie bardzo umieją się oburzać, są dość otrzaskani.

- Głównie ich obchodzi, jacy to są sprawcy zabójstwa i jakie są ich motywy.

Kursuje cały szereg teorii.

- Jestem bardzo ciekawy.

- Według jednej zabił go bolszewicy rosyjscy jako wybitnego wroga Sowietów.

Inni powiadają, że u niego były złożone papiery generała Podolskiego. Ci, których te akta kompromitowały, żądali ich wydania, a gdy odmówił, zamordowali go i archiwum zabrali. Jeszcze inni mówią, że posiadał naci spisku Ukraińców i Niemców przeciw Polsce i został uprzątnięty przez ich agentów... Zabawnie się tego wszystkiego słucha, gdy się wie, kim był pan Culmer...

- A cóż policja?

- Przede wszystkim na policje ludzie wygadują. W biały dzień, w środku miasta zamordowano dwóch ludzi i sprawcy bezkarnie zbiegli... Ona zaś sama łamie sobie głowę nad zagadkami, których nie umie rozwiązać. Służący Culmera na chwilę przed swoją śmiercią alarmował telefonicznie policję i mówił, że poznał zabójcę. Tymczasem zeznania kucharki i pokojówki wskazywałyby raczej, że był współnikiem zabójców: pierwszej przeszkodził wyjść wcześniej na miasto po zakupy, tak że

poszła dopiero po dziesiątej, druga zaś wyprawił z całą listą sprawunków do załatwienia, widocznie mu zależało na tym, żeby w chwili zabójstwa żadnej z nich nie było w domu. Zabójca, zdaniem policji, był tylko jeden, załatwił się z dwoma ludźmi w sposób, świadczący o niezwyklej sile fizycznej. Toteż w jego poszukiwaniu zwrócono uwagę na sferę zawodowych bokserów.

Grzybowski był widocznie tym wszystkim bardzo podniecony.

- Byłem w redakcji - rzekł krótko Twardowski.

- Zrobili świństwo z tym artykułem o Culmerze - zauważył Grzybowski, jak zwykle, bezceremonialny. - Wiedziałem, że nie są bohaterami, ale nie myślałem, że to tacy tchórze... Swoją drogą, gdyby to nie spadło na nich tak nieoczekiwanie, gdyby byli do tego choć trochę przygotowani, na pewno nie zareagowaliby w tak idiotyczny sposób...

Twardowski się uśmiechnął.

- Zdaje się, że pan mi przypisuje zasługę uprzątnięcia Culmera ze świata.

Grzybowski szeroko otworzył oczy. Widać było, że nie miał w tym względzie żadnej wątpliwości.

- Nie, panie - mówił Twardowski - nie mam powołania na mordercę. Załatwianie się na tej drodze nawet z takimi łotrami, jak Culmer, nie zgadza się z moimi instynktami, ani z moimi zasadami etycznymi, ani z moimi poglądami na potrzeby cywilizowanego społeczeństwa. Zresztą, gdybym wszedł kiedykolwiek na tę drogę w walce o sprawę, której służę, uważałbym za konieczne przede wszystkim zrobić to, co pan powiedział, mianowicie przygotować swych towarzyszy walki, żeby się umieli należycie zachować.

- Wiec któż zabił Culmera? - zapytał Grzybowski.

- Nie wiem. Mam tylko przypuszczenie, ale rozumie pan, że w tej właśnie sprawie nie powinno się przypuszczeń wypowiadać.

Zaczęli się schodzić zaproszeni przyjaciele, znosząc wiadomości o tym, co mówią na mieście i co wiedza od policji. Nie przybyło nic istotnie nowego.

Gdy się zeszli wszyscy, zabrał głos gospodarz:

- Wczoraj wieczór, proszę panów, rozmawialiśmy tu o zabójstwie Culmera w związku z walką, którą z nim prowadziliśmy. Otóż dziś uważam sobie za obowiązek stwierdzić, że to zabójstwo żadnego związku z naszą walką nie ma.

Wszyscy ze zdziwieniem spojrzeli na Twardowskiego.

- Dla wszystkich tu obecnych - mówił dalej starzec - nawet dla pana Twardowskiego, który wiele musiał się stykać z tym łajdakiem, śmierć jego jest całkowitą niespodzianką. Zasłużył się i nam i całemu społeczeństwu - dodał z sarkastycznym uśmiechem - ktoś nieznany, kto miał z nim widocznie swoje porachunki. To, co mówię jest bezsprzeczną prawdą.

Grzybowski widocznie zawiadamiał obecnych w jak najbardziej przekonujący

sposób, że się dotychczas mylili. Widać też było po twarzach, że ich przekonał.

- Mam pewne dane - rzekł jeden z obecnych - że grabarze nas o to posądzają. Przytoczył kilka rozmów które do niego doszły.

- To może nie jest złe - zauważył Twardowski. - Rzuci na nich postrach, a ten zawsze jest czynnikiem dezorganizującym, zwłaszcza w sferze nie odznaczającej się bohaterstwem. Gorzej jest, gdy śmierć naszego wroga wywołuje panikę wśród naszych ludzi.

- Panikę,,,? - odezwało się kilka głosów z odcieniem obrazy.

- Czegoż innego dowodzi artykuł o Culmerze w naszym piśmie?

- Nasi ludzie są oburzeni na ten artykuł - ktoś odpowiedział.

- Ale ukazał się w naszym piśmie. Artykuł ten jest wyrazem nikczemnego tchórzostwa, które w strachu o swą własną skórę szerzy szkodliwe kłamstwa. Jest przy tym samobójczy, bo rozzuchwała przeciwnika.

- Mówiono mi - rzekł Piętka, znajdujący się wśród obecnych – że, gdy wiadomość o zabójstwie Culmera przyszła do redakcji, redaktor zawołał: "Teraz nas zaczyna mordować"...

Twardowski spojrzał na gospodarza.

- Piękna reakcja! - szydził.

- Tak... - mówił gryząc wargę Grzybowski.

Pewnie nie on jeden tak zareagował.

- Moim zdaniem - rzekł Twardowski - on tym jednym artykułem dowiódł, że jest nieodpowiedni na swym stanowisku. Trzeba znaleźć kogoś innego.

- To zdolny dziennikarz - bronił redaktora Grzybowski - a przy tym porządny człowiek i dobry Polak.

- Nie można być dobrym Polakiem, gdy się jest takim tchórzem - stwierdził z zawziętością Twardowski. - Jak może polskie sumienie człowiekowi pozwolić na takie zatruwanie kłamstwami swego społeczeństwa dla ratowania swej osoby!

Przez usta Twardowskiego przemawiał ścisły umysł i konsekwencja moralna człowieka zachodniego.

- Dziwna rzecz - myślał głośno Grzybowski - ten człowiek wykazywał zawsze ogromną odwagę swoich przekonań...

- Na papierze! - zawołał Twardowski - w polemikach, nie pociągających za sobą żadnych nieprzyjemnych następstw. W moich oczach to nie jest człowiek uczciwy, on nie ma poczucia odpowiedzialności za to, co pisze. A w każdym razie to poczucie go opuszcza pod wpływem strachu. Ja mu dalej ufać nie mogę i nie mogę mieć nadal stosunków z pismem. na którego czele on stoi.

Wyszedł od Grzybowskiego otrzymawszy zapewnienie, że w krótkim czasie postarają się o innego redaktora. Widział wszakże, iż robią to tylko dla niego, dla człowieka, który dziennik zasila swymi pieniędzmi, że chętnie uznaliby oburzający artykuł za chwilowe poślizgnięcie się i w krótkim czasie zapomnieliby go autorowi.

Gniewało go to i martwiło; Przecież ten człowiek postąpił tak, jak dowódca oddziału na wojnie, który haniebnie stchórzył, zrejterował i otworzyli nieprzyjacielowi drogę do okrażenia armii. Może oni i tamtego nie sądziliby i nawet nie odebraliby mu dowództwa. Czyż z takimi ludźmi można iść do zwycięstwa?... Nawet i ten Grzybowski... Człowiek niepospolity, a jednak i on nie był konsekwentny, nie miał odwagi wyciągnięcia wniosku z oburzającego postępkę redaktora... To wszystko są niedojrzałe charaktery; najwybitniejsi nawet ludzie w tym społeczeństwie są trochę dziećmi.

Jeszcze niedawno może by go to zniechęciło. Może by sobie powiedział, że lepiej rzucić wszystko, co tu rozpoczął, wyjechać z Polski i wrócić do dawnej pracy. Dziś jednak czuł się już z tym wszystkim tak mocno związany, że mu podobne wnioski do głowy nawet nie przyszły.

Wrócił do mieszkania przed piątą i czekał na wizytę holenderskiego profesora w humorze nie bardzo odpowiednim do przyjmowania gości.

- Z czymże ta kanalia znów przychodzi? – zapytywał siebie.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

- Jestem pod wrażeniem śmierci Culmera - rzekł Oldenhuis, siadając we wskazanym mu fotelu.

- Chyba niezbyt ciężkim, zważywszy to, co pan o nim ostatnim razem mówił – zauważył nieuprzejmie Twardowski, którego zły humor nie opuszczał.

Profesor bystro na niego spojrział. Twardowskiego tknęło, że mimo woli ugodził w jakiś punkt słaby. Zanotował to sobie w myśli.

- Tak - mówił powoli profesor - dla nas to nie jest cios. Ten człowiek już nam był niepotrzebny.

- Nawet zawadzał - dodał Twardowski, idąc dalej w tym samym kierunku, ciekawy, co z tego wyniknie.

Oldenhuis zrobił mimo woli ruch niespokojny.

- Władze - mówił - zdaje się, jeszcze nie wpadły na trop winowajców. Ale to chyba nie będzie trudne. Czy pan wie, kto go zamordował? - zapytał raptem.

- A pan wie? - odpowiedział pytaniem Twardowski.

Ku jego zdziwieniu profesor odpowiedział śmiało:

- Wiem.

- To ciekawe.

- I dlatego przyszedłem pomówić z panem.

- Słucham.

- Culmera i jego służącego zamordował pański służący Grzegorz, znany z niezwyklej siły fizycznej.

Twardowski był jak piorunem rażony. Strach go ogarnął o biednego Grzegorza.

Umiał wszakże panować nad sobą i tego nie okazał.

- Nie wiem skąd pan ma tę wiadomość i nie wierze w jej prawdziwość. Zauważę tylko, że Grzegorz był wprawdzie moim służącym, ale nim już od pewnego czasu nie jest.

- Moja wiadomość jest pewna. Co zaś do pańskiej uwagi, to przecież można formalnie rozstać się ze służącym, gdy mu się powierza inna robotę...

- Zdaje się - rzekł uśmiechając się ironicznie Twardowski - iż pan przyszedł tu powiedzieć mi, że to ja zamordowałem pańskiego ekspryjaciela.

- Nie. Tylko przyszedłem ostrzec pana, że panu grozi wielkie niebezpieczeństwo. Mam dla pana życzliwość i boję się o pana. Próbuje myśleć tak jak myśli w podobnych wypadkach policja. Zwłaszcza, że policja może znaleźć pomoc ze strony nieżyczliwej panu.

- To znaczy ze strony pańskiej organizacji.

- Przypuśćmy, że tak. Cóż pan wtedy zrobi?...

- Hm, będę w głupim położeniu...

- Łagodnie to pan określa.

- Nie zwykłem rzeczy tragizować.

- Tym razem sama rzecz przedstawia się już tragicznie.

- Cóż by pan zrobił na moim miejscu?

- Postarałbym się, żeby ci, którzy mi są nieżyczliwi, stali się życzliwymi.

- Czyż to możliwe?...

- Wskazałem panu drogę do tego w poprzedniej rozmowie.

Aha, pomyślał Twardowski - znaleźli nareszcie sposób szantażowania mnie. Sądzą, że już mnie mają. Postanowił zabawić się w cynizm.

- Wie pan - rzekł - że sporo się zastanawiałem po naszej ostatniej rozmowie...

- I ? ...

- I powiedziałem sobie, że gdybym się nawet zdecydował pójść wskazaną mi przez pana drogą, to co mi pan zaproponował. Jest dla mnie za mało.

- Za mało?... zapytał profesor zdziwiony.

- Nazwijmy rzeczy po imieniu. Cóż to jest Związek Uczynnych Grabarzy? Powie pan: wielka, potężną organizacja, szeregująca miliony ludzi na całym świecie.

Dobrze, ale czy ci ludzie wiedza, po co istnieją, jakiemu celowi służą, kto nimi kieruje?...

- Nie rozumiem, co pan chce powiedzieć... . rzekł niespokojnie profesor.

- Chce powiedzieć, że cały związek grabarzy jest tylko biernym narzędziem w rekach innej organizacji.

- Pan jest w błędzie.

- Nie, panie. Ja to wiem na pewno. Dzięki moim sumiennym studiom wiem o wiele więcej, niż pan myśli. Otóż, gdybym miał wejść na wskazaną przez pana drogę, to wstąpiłbym do tamtej organizacji. Bo ja lubię sam kierować i mam swoje cele, dla których chciałbym organizację zużytkować.

- Postawił pan rzecz tak nierealnie - rzekli Oldenhuis - że właściwie nie ma możliwości mówienia dalej. Ale niech pan powie, jakie są pańskie cele. Może panu dowiodę, że godzą się one z celami naszej organizacji.

- Wątpię, żeby je pan zrozumiał: to są cele nasze, polskie...

- Czyż cele polskie, jakie pan rozumie, nie godzą się z ogólnoludzkimi?

- Panie Oldenhuis, nie żartujmy. Jesteśmy obaj ludźmi na tym poziomie, że nie powinniśmy bawić siebie głupstwami, wymyślonymi dla gawiedzi. Pan dobrze rozumie, co ja myślę. Taki mądry człowiek, jak pan, zna na pewno istotną wartość tak zwanych celów ogólnoludzkich. Pan wie tak samo jak ja, że cała historia cywilizacji od najdawniejszych do dzisiejszych czasów to historia poszczególnych społeczeństw ludzkich, ich pracy dla swoich celów, ich walk o swoje cele. I nikt tak sobie nie drwi w głębi duszy z celów ogólnoludzkich, jak pan właśnie.

- Pan mnie obraża...

- Nie, ja mówię panu komplementy. To świadczy wysoko o inteligencji pańskiej i panu podobnych, że pod wezwaniem celów ogólnoludzkich umiecie zaprząć miliony do służenia waszym celom. Mówiłem panu, że mógłbym należeć tylko do tamtej organizacji, kierującej tymi milionami; ale ja wiem, że tam są tylko ludzie wasi, waszej wybranej rasy...

- Bardzo interesujące są pańskie poglądy - rzekł z ironią Oldenhuis - ale zanadto odbiegliśmy od przedmiotu. Mówiliśmy o pańskim położeniu w sprawie zabójstwa Culmera.

- Prawda. Czy pan pozwoli, żebyśmy pomówili i o pańskim?..

- O moim?..

- Tak.

- Cóż ja z tą sprawą mogę mieć wspólnego?

- Zaraz zobaczymy. Pan powiada, że zabójca jest mój dawny służący, Grzegorz i że pan to wie na pewno... Otóż ja nie wiem, kto jest zabójcą i robię tylko domysły; pan zaś wie na pewno. Jak to się stało?..

- My wszystko wiemy.

- Znów frazes dla gawiedzi. Zapomina pan, że rozmawia z człowiekiem, który was zna wcale nieźle.

- Do czego pan zmierza?

- Zaraz panu powiem. Ja nie wiem wszystkiego, ale wiem trochę faktów, z których umiem wyciągnąć wnioski. Culmer narobił wam wiele kłopotów. Przede wszystkim przez swój szwindel skompromitował ważnego dla was człowieka, który się nazywa dziś sir Joseph Turner i jest jeszcze mniej Anglikiem, niż pan Holendrem. Culmer więc zasłużył na ciężką karę i stał się dla was niedogodny. Postanowiono z nim się załatwić i w tym celu pana tu przysłano. Kilkakrotnie wzywał pan do siebie do hotelu jego służącego i coś o wiele więcej, niż służącego - mądrego Jakuba. Naradzał się pan z nim, jak się pozbyć Culmera. Wreszcie Jakub wynalazł zabójcę -

był to genialny wynalazek. Kto nim był, wiedzieliście tylko wy dwaj. Dziś wie tylko pan. Pierwszym człowiekiem, któremu pan to powiedział, jestem ja. Otóż niech pan sobie dobrze zapamięta moje słowa: jeżeli ktoś inny poza mną o tym się dowie, ja się zajmę tym, żeby pańskie położenie w tej sprawie stało się bardzo trudne. Nie żądam od pana żadnego oświadczenia. Zdaje się, żeśmy rozmowę skończyli.

Wstał i profesor zrobił to samo.

- Jeszcze jedno - rzekł gość zagraniczny. - W posiadaniu pańskim są pewne dokumenty, które stryj pański ośmielił się...

- Stop! - krzyknął Twardowski..

Profesor zamilkł przestraszony. Twardowski się uśmiechnął i rzekł uprzejmym tonem:

- Chciałem pana uchronić od nieprzyjemności, na którą by się pan naraził, gdyby pan powiedział coś obrażającego pamięć mego zmarłego stryja,

- Te dokumenty.. .

- Są moją własnością. Mój stryj przywłaszczył je sobie tym samym prawem, jakim wy usiłowaliście przywłaszczyć sobie jego osobę i jego sumienie. Są one dowodem waszej zbrodni i jako takie, są bronią w moim ręku. Nie myślę się ich pozbywać i radzę panom pożegnać się z nadzieją ich odzyskania.

Profesor wbił w niego oczy szkliste, mordercze.

- Panie Twardowski - rzekł - pan gra grę bardzo niebezpieczną.

- Ale interesującą, prawda panie Oldenhuis?...

Ten nic nie odpowiedział i wyszedł.

Twardowski kazał powiedzieć Markowi, że za pięć minut jedzie do Turowa.

Rozmowa z holenderskim profesorem poprawiła mu humor. Wracał do domu w znacznie lepszym usposobieniu, niż z niego wyjeżdżał.

Tylko męczyła go myśl o dokumentach, które mu Oldenhuis przypomniał. Co się z nimi stać mogło?.. Jakby mu się przydały!...

Zastał w hallu domu turowskiego obie panie i księdza Rybarzewskiego, czekających na niego z obiadem, na który spóźnił się blisko godzinę. Poczciwy proboszcz w jego nieobecności towarzyszył zaniepokojonym kobietom cały dzień z krótkimi przerwami.

Siedli natychmiast do slotu.

- Co cię tak zatrzymano? - zapytała Wanda. - Myślałam, że już dziś nie wrócisz.

- Miałem - odrzekł - trzy ważne rzeczy do załatwienia: położyć koniec wychwalaniu zbrodniarzy w piśmie, które jest mi bliskie; zawiadomić ludzi, że to nie ja zabiłem Culmera; wreszcie tak rzeczy urządzić, żeby władze nie wykryły zabójcy.

Przy ostatnim zdaniu zauważył niespokojne poruszenie się księdza. Patrząc na niego, kończył:

- Myślę sobie, że mi się wszystkie trzy udało załatwić pomyślnie.

- Nie mogę sobie wyobrazić - odezwał się proboszcz - jak pan te trzecią sprawę mógł załatwić.

- To tymczasem moja tajemnica.

Swym humorem ożywił wszystkich.

Pod koniec obiadu skinął na Antoniego i wkrótce zjawiała się butelka węgryzyna.

- Proszę i panie - rzekł - o wypicie tym razem. Wzniosę toast.

Gdy nalano kieliszki, podniósł swój ze słowami:

- Oby ten biedny człowiek, który uwolnił świat od jednego z najnikczemniejszych łotrów, nie zapłacił za to zbyt ciężko. Niech go Bóg ma w swojej opiece!

Ksiądz Rybarzewski chwilę się zawahał. Wreszcie rzekł:

- To mi wolno: największych nawet grzeszników trzeba polecać opiece boskiej. Zwrócił swój kieliszek ku Twardowskiemu i do dna go wychylił.

Po wyjeździe proboszcza i udaniu się pani Czarnkowskiej na spoczynek

Wanda

zapytała narzeczonego:

- Słuchaj, wy z proboszczem wiecie, kto zabił Culmera?

- To jest pytanie, nad którym radzę ci się nie zastanawiać. Powinno ci wystarczyć,

że nie będzie wykryty.

- Wiec ty nawet taką rzecz możesz zrobić. I jak ja mam nie bać się ciebie!...

Następnego dnia po południu siedzieli oboje w hallu, przeglądając ranne gazety, świeżo przywiezione z poczty. Twardowski w kronice miejscowej spostrzegł notatkę:

„Znany uczonec, prof. R. Paloma Oldenhuis, zebrawszy u nas potrzebne mu dane w sprawie mniejszości narodowych, dziś opuszcza nasze miasto i wyjeżdża za granicę”.

Podniósł oczy od gazety i spotkał się z wpatrzonymi w niego oczyma Wandy.

- Teraz - rzekł - na pewno już mogę powiedzieć, że zabójca Culmera nie będzie wykryty.

Poszedł do siebie na górę, a dziewczyna rzuciła się na gazetę, która pozostała na stole, otwarta na tej kolumnie, która czytał. Przeszukała całą kolumnę, ale nie znalazła nic, co by miało jakikolwiek związek z zabójstwem Culmera.

Rozdział XXXIII

Niewielu ludzi wiedziało o istnieniu Grzegorza. Żył w odosobnieniu, w turowskim domu, w którym prawie nikt nie bywał. Gdy go ksiądz Rybarzewski przysłał Zbigniewowi Twardowskiemu do Warszawy, ten umyślnie go nie pokazywał nikomu. Przedstawił go tylko swej narzeczonej. W Warszawie Grzegorz, szukając ludzi do tropienia Culmera i jego przyjaciół, odnowił trochę dawnych stosunków, ale tylko w swojej sferze.

Ci, co go znali, wiedzieli, że był bardzo przywiązany do swego zmarłego pana. Istoty wszakże stosunku między tymi dwoma ludźmi dobrze nie rozumieli. Najlepiej jeszcze znał go ksiądz Rybarzewski. Mógłby go poznać młody Twardowski, ale nie było na to dość czasu: miał go w służbie zbyt krótko, a za wiele rzeczy w tym czasie go zajmowało.

Grzegorz nie był typem starego sługi, którego całe istnienie obraca się dokoła pana. Miał swoje cele w życiu i swoje ambicje: panu był drogi, bo do urzeczywistnienia tych celów pomagał.

Kiedy jeszcze był chłopakiem, kręcącym się przy pańskiej stajni, tkwiły w nim duże możliwości. Gdyby stryj Zbigniewa tych możliwości w nim nie odkrył, pozostałyby pewnie w stanie utajonym, ażeby ujrzeć światło dzienne dopiero w jego synu lub wnuku.

Alfred Twardowski, wywiózłszy go do Warszawy, obudził je i uświadomił je samemu Grzegorzowi. Porównując siebie z innymi podobnymi mu chłopakami, widział, że ma więcej od nich siły, nie tylko w mięśniach, ale i w głowie. Zrodziły się w nim wtedy ambicje pójścia wyżej niż inni i wydobywania się ze stanu, w którym się urodził. Rozumiał, że wejście na nową drogę zawdzięcza panu, był mu za to wdzięczny, postanowił trzymać się go i wiernie mu służyć.

Toteż w czasie wojny, gdy pan był nieobecny a stary służący umarł, całą duszę włożył w opiekę nad domem turowskim, pewny, że pan po powrocie pozna się na tym i sprawiedliwego wynagrodzi. Nadzieja go nic zawiodła: został zwierzchnikiem całej służby i jedynym powiernikiem pana. Był po panu najważniejszą osobą w turowskim domu. Otrzymywał zaś takie wynagrodzenie, że z oszczędności zaczął sobie gromadzić wcale poważny kapitał. A gdy po ożenieniu się dostał w prezencie od pana kawał gruntu, większy od posiadłości zamożnego gospodarza, poczuł się założycielem potężnego rodu, który będzie rósł dalej w swej sile i zamożności.

Był bezwzględnie uczciwy, nie tylko dlatego, że był synem uczciwych rodziców i miał to w swej naturze, i nie tylko dlatego, że obcował z niepospolicie uczciwym panem, od którego się uczył, ale także dlatego, że był inteligentny; rozumiał, że w jego położeniu uczciwość najdalej go zaprowadzi. Zresztą sam siebie szanował i miał swoją dumę.

Był mocno religijny, nie tylko dlatego, że go tak wychowano: brał przykład z pana, który we wszystkim był dla niego wzorem. Rozumiał, że jest dobrym katolikiem, ale religia jego, prawie w tym stopniu, co religia Hindusa, była nawarstwieniem wszystkich wierzeń jego przodków od najodleglejszych czasów.

Ksiądz Rybarzewskiego, który go bardzo lubił, umiał do rozpaczki doprowadzić swymi wynurzeniami w konfesjonale: wyłaził z nich czasami surowy, pierwotny poganin. Stosunek do pana, pozbawiony wszelkiej służalczości, regulowała jego uczciwość i religijność. Pan mu dał wszystko, co ma, o czym marzył, więc on powinien dać panu wszystko, czego ten od niego potrzebuje.

Gdy Alfred Twardowski umarł, Grzegorz nie uważał, że jego obowiązki względem pana się skończyły. W części wiedział, w części starał się odgadnąć, czego pan potrzebuje od niego po śmierci. Gdy pierwszego zaraz wieczoru po śmierci pana usłyszał kroki jego w bibliotece, w której nikogo nie było, powiedział sobie, że dusza jego nie ma spokoju i czegoś żąda. Od kogo by zaś zadała, jeżeli nie od niego, Grzegorza, który był wykonawcą wszystkich rozkazów pana. Potem słyszał te kroki często i zgodnie ze swą religią utwierdził się w myśli, że dusza zmarłego nie będzie miała spokoju, dopóki śmierć jego nie będzie pomszczona.

Nawet ksiądz Rybarzewski nie zdołałby go przekonać, że katolikowi tak myśleć nie wolno.

Dlatego tak się oddał Zbigniewowi Twardowskiemu, wierząc, że razem wykonają zemstę.

W końcu jednak zawiódł się na nim: doszedł do przekonania, że ten naprawdę o zemście nie myśli. Porzucił więc służbę u niego.

Odkąd zyskał całkowitą wolność, myśl o nie spełnionym obowiązku zemsty zaczęła go prześladować na każdym kroku. Chodził często na cmentarz i modląc się po chrześcijańsku za duszę zmarłego, jednocześnie po pogańsku przysięgał nad grobem, że pana pomści, gdy tylko znajdzie sposób.

Chodził, jak przestępca, trawiony wyrzutami sumienia; gospodarstwem mało się zajmował, wszystkie roboty pozostawił ludziom najemnym. Wreszcie zaczął na cały dzień znikać z domu.

Żeby nie wiadomo, dokąd się udaje, szedł piechotą do bardziej oddalonej stacji kolejowej, gdzie go nie znano i tam wsiadał do pociągu warszawskiego. W mieście włączył się po ulicy w okolicach mieszkania Culmera.

Nie miał żadnego określonego zamiaru, żadnego planu: wierzył, że jakąś sposobność się nadarzy i stanie z łotrem oko w oko. A wtedy... Także nie zastanawiał się nad tym, co zrobi. Zrobi coś, co uspokoi dusze zmarłego.

Było to w czasie, kiedy profesor Paloma Oldenhuis naradzał się z Jakubem w swoim numerze hotelowym nad tym, co zrobić z Culmerem.

Jakub, po drugiej wizycie u profesora, wyszedł z zamiarem próbowania planu, który się narodził w jego dużej głowie poprzedniej nocy.

Mając oczy otwarte na wszystko, zauważył on spacery Grzegorza po ulicy. Poznał go, a wiedział o nim sporo jeszcze z dawnych czasów. Gdy stanęła w rozmowie między nim a profesorem kwestia pozbycia się Culmera, pomyślał o Grzegorzu, a myśl ta rozwinęła się w genialny plan załatwienia się jednym pociąganiem z Culmerem i z Twardowskim.

Podczas jednej z włączęg ulicznych Grzegorza zrównał się z nim przechodzień niskiego wzrostu i rzekł półgłosem:

- Dobrze, że pana spotykam, muszę z panem pomówić.

Grzegorz spojrział na przechodnia - poznał go od razu.

- Jestem służącym mecenasa Culmera - rzekł tamten - i znam pana z widzenia. Może byśmy gdzieś wstąpili na kufelek, to byśmy pogadali.

Grzegorz, który miał przekonanie, że Jakub jest tyle wart, co jego pan, nie mógł zdać sobie sprawy z powodów tej zaczepki. Przyjął jednak zaproszenie, gdyż pociągało go wszystko, co się wiązało z Culmerem.

Jakub zaprowadził go, o kilka ulic dalej, do malej restauracyjki i tam usiadł z nim w ciemnym kącie.

- Wiesz pan co - rzekł w zaufaniu - że już mi się sprzykrzyła służba u Culmera. Odejdę za parę tygodni.

- Złe warunki? - zapytał Grzegorz.

- Nie o to chodzi. To jest, panie, ostatni łajdak. Z nim razem można zajechać do kryminału.

Grzegorz nigdy nie oczekiwał takiego wynurzenia ze strony Jakuba. Sam pozbawiony chytryści, zaczął się zastanawiać, czy to szczerze, czy nie. Nareszcie doszedł do przekonania, że dwaj złodzieje musieli się między sobą pokłócić.

- Zrobił co panu? - zapytał.

- Żeby tylko mnie... Nie ma chyba człowieka, którego by nie skrzywdził. Ten łotr nie wart, że go święta ziemia nosi. Najgorzej, że jak się u niego służy, to trzeba mu w jego złodziejstwach pomagać. Już mam tego dosyć.

- Tak, to ciężka służba - zauważył sentencjonalnie Grzegorz.

- Czy pan go zna? - zapytał od niechcienia Jakub.

- Trochę.

- Widział go pan pewnie u pana Twardowskiego!

- Jeszcze u nieboszczyka. Będzie z dziesięć lat temu.

- O, to dawno. Ja wtedy jeszcze u niego nie służyłem - skłamał bezczelnie Jakub.

- Ale pan pewnie znał starszego pana Twardowskiego!

- Nie, nie znałem - znów zełgał.

Grzegorz na razie uwierzył. Postanowił być rozmowniejszy.

- Dobrze pamiętam - rzekł - jak Culmer ze swoim przyjacielem przyjechali do naszego pana na wieś i jak chwyciłem jednego i drugiego za kołnierz, wyniosłem z

domu i wrzuciłem do samochodu. On to pewnie też pamięta. Dobrze, że się na tym skończyło.

Jakub patrzył z udanym zachwytem na atletę.

- Oj; żebym ja miał taką siłę! - zawołał.

- Cóż by pan zrobił?

- Porządnie bym go nabił przed odejściem.

- Naprawdę!

- Jak pragnę jutra dożyć.

Grzegorz zaczął szybko myśleć.

- Ja bym to za pana zrobił.

- E, pan przy swojej sile mógłby go zanadto uszkodzić. Nie chciałbym się w to mieszać.

- No, już nie bój się pan - rzekł Grzegorz dwuznacznie. -Tylko mi pan pomóż do niego się dostać.

- To pan taki zawzięty na niego!...

Grzegorz milczał, ale spojrzał tak, że famulusowi mecenasa skóra ścierpła.

Wkrótce doszli do porozumienia.

- Bądź pan pojutrze o dwunastej - rzekł Jakub przy pożegnaniu - tu, przy tym samym stoliku, to ułożymy wszystko. A tymczasem nie pokazuj się pan, nie powinni pana widzieć.

Grzegorz poszedł prosto na kolej. W drodze przypominał sobie całą rozmowę z Jakubem i zastanawiał się nad nią. On od swego pana nie lepszy, ale musieli się pokłócić i teraz jest na niego zawzięty. To nareszcie daje mu sposobność... A może to pułapka! Cóż mu zrobią!... On sobie z nimi poradzi...

Po drodze ze stacji do domu wstąpił na cmentarz i długo klęczał przy grobie pana.

Przy następnym spotkaniu z Jakubem dowiedział się, którego dnia i o której godzinie może śmiało wejść do znanego mu domu: na pierwszym piętrze zastanie drzwi uchylone, w przedpokoju nie będzie nikogo, a z przedpokoju pierwsze drzwi na lewo do gabinetu, w którym zastanie tego, kogo szuka...

Mecenas Culmer przygotowywał się do zniknięcia z Warszawy. Likwidował swe interesy z nerwowym pospiechem, ale jednak bez niepotrzebnego hałasu. Robił to nawet wcale poprawnie, żeby po jego wyjeździe policja nie miała powodu do zajmowania się jego osobą. Wyjeździe dla poratowania zdrowia na czas dłuższy. To nikogo nie obchodzi. Pobyt Oldenhuisa w Warszawie przerażał go, niepokoiło go zachowanie się Jakuba, a nadto uprzykrzał mu życie majster, który był użyty przez Jakuba do umieszczenia gramofonu w mieszkaniu Twardowskiego, a którego ten mu nasłał. Złożył mu już dwie wizyty, które kosztowały sporo pieniędzy. To także powód do jak najspieszniejszego opuszczenia Warszawy.

Przygotowania tak się posunęły, że wyznaczył sobie dzień wyjazdu. Im bliższy był ten dzień, tym silniej był zdenerwowany, tym więcej się bał, że nie zdąży umknąć swoim prześladowcom.

Nigdy się nie czuł tak źle, jak w przeddzień wyjazdu. Siedział od rana w swym gabinecie, uprzątając niepotrzebne papiery drżącymi ze zdenerwowania rękoma.

Aby tylko zdążyć...

Naraz wydało mu się, że słyszy przymknięcie drzwi frontowych. Zaczął nasłuchiwać.

Wtem drzwi od przedpokoju się otwały i stanęła w nich potężna postać, z dużą kanciastą twarzą i z dziko patrzącymi oczami.

Chciał zapytać przybysza, czego chce, ale głos odmówił posłuszeństwa. On tego człowieka zna... Tak, to było w Turowie.

Siedział bez ruchu, sparaliżowany strachem. Wielkim wysiłkiem wyciągnął rękę i nacisnął dzwonek. Ale na dzwonek nikt nie przychodził, a ten człowiek ciągle stał we drzwiach i patrzył na niego dziko, okrutnie...zrobił parę kroków ku niemu i znów stanął... Złodowaciały z trwogi mecenas chciał krzyknąć, ale głos mu uwiązł w krtani.

Spróbował wyciągnąć rękę w kierunku telefonu. Przybysz skoczył jak tygrys i chwycił go obu rękami za gardło... Ręce coraz bardziej zaciskały się na gardle, mecenasowi robiło się coraz ciemniej w oczach...

Grzegorz z oczami krwią zalanymi nie zastanawiał się, nie myślał, nie miał świadomości tego, co robi. Czuł tylko, że ma nareszcie w rękach mordercę swego pana i zaciskał je coraz mocniej...

Nareszcie spojrzął na wroga i oprzytomniał. Wypuścił z rąk gardło... Przed nim leżał trup Culmera.

- Zamordowałem... - rzekł cicho.

Mówił tak, jak gdyby zrobił coś, czego się nie spodziewał.

Stał długo nieruchomo, wpatrzony w swoją ofiarę. W pokoju panowała cisza. Naraz usłyszał kroki, skradające się w przedpokoju. Skoczył ku oknu i skrył się za grubą firanką.

W drzwiach przedpokoju ukazał się Jakub. Rozejrzał się po gabinecie, spostrzegł leżącego na ziemi trupa, zbliżył się... Na brzydkiej jego twarzy ukazał się uśmiech, który zrobił ją jeszcze brzydszą. Wziął do ręki słuchawkę telefonu.

- Czy komisariat policji?...Mówi służący mecenasu Henryka Culmera. Pan mój przed chwilą został zamordowany, widziałem uciekającego mordercę i poznałem go. Jest to...

- Ty zdrajco! - krzyknął Grzegorz, wyskakując zza firanki i wymierzył ciężką pięść w głowę Jakuba.

Ugodził samą skroń i uczył od pięścią chrupniecie. Jakub wypuścił słuchawkę i padł na ziemię Grzegorz uczył się boksu i nie miał potrzeby oglądać swej drugiej ofiary. Wiedział, że Jakub jest już trupem.

Nie oglądając się za siebie, skoczył ku drzwiom, wyszedł na schody, potem na ulicę. Poszedł prosto na dworzec.

W kilka godzin potem ksiądz Rybarzewski, odmawiając brewiarz w ogrodzie, z którego był widok na cmentarz, spostrzegł Grzegorza, klęczącego przy grobie Alfreda Twardowskiego. Ksiądz długo stał i patrzył, a Grzegorz ciągle klęczał.

Tegoż dnia wieczorem pani Czarnkowska przywiozła na plebanię wiadomość o zamordowaniu Culmera. W umyśle księdza wiadomość ta nie związała się z widokiem Grzegorza, klęczącego przy grobie. Widywał go tam nieraz.

Wcześniej rano kościelny przyszedł powiedzieć, że czeka człowiek do spowiedzi.

- Idę zaraz - rzekł proboszcz.

- To Grzegorz, ten, co służył w Turowie - dodał kościelny.

Ksiądz coś tknęło.

Szedł do kościoła niezwykle skupiony i smutny.

Po wysłuchaniu spowiedzi i odprawieniu mszy kazał założyć konie i pojechał do Turowa. Wszystkich uderzyła jego serdeczność dla Twardowskiego, z którym poprzedniego wieczoru pożegnali się tak ozięble.

Rozdział XXXIV

Przy śniadaniu pani Czarnkowska wydała Antoniemu polecenie, by zaprzężono dla niej powóz, którym co dzień wyjeżdżała z domu zwykle na cmentarz i do proboszcza.

- Muszę odwiedzić Grzegorza - rzekła, gdy Antoni wyszedł.

Twardowski spojrzał na nią zdziwiony.

- To ty go znasz, mamusiu? - zapytała Wanda.

- Nie znam dotychczas. Kiedyśmy tu przyjechali, mówił mi wiele o nim ksiądz Rybarzewski. To był człowiek bardzo przywiązany do Alfreda i całkiem mu oddany. Jeździłam już dwa razy do niego z proboszczem, ale za każdym razem nie było go w domu.

- Zabierz mnie ze sobą. Ja go znam i bardzo go lubię.

- Zostań, kochanie, z panem Zbigniewem. Dziś chciałabym być u Grzegorza sama.

Twardowski patrzył na nią, chcąc odczytać jej myśli.

- Nie rozumiem proboszcza - mówiła dalej. - Z początku opowiadał o nim wiele, wychwalał go bardzo; ale teraz, od paru dni unika rozmowy o nim. Coś musiało się stać. Jakiś głos mi mówi, że...

Zawahała się.

- Że?... - zapytała Wanda zaniepokojona.

Pani Czarnkowska pochyliła się ku dwojgu młodym i rzekła cicho:

- Że to Grzegorz zabił Culmera.

Wanda spojrzała badawczo na narzeczonego.

- Skądże takie przypuszczenie! - rzekł Twardowski, starając się nadać swym słowom ton jak najbardziej sceptyczny. .

- Mój Zbigniewie. odparła kobieta - ty to samo na pewno myślisz i ksiądz także...

Wanda milczała, czując, że matka ma słuszość.

- O nim to myśleliście, kiedy przy stole polecaliście opiece boskiej sprawcę zabójstwa. I jego starałeś się ratować w Warszawie... Bóg ci zapłać za to, bo biedny Grzegorz karał nikczemnika za krzywdę Alfreda... I moja!... - dodała z mocą.

Twardowski patrzył na te wysoce kulturalna kobietę i podziwiał w niej siłę namiętności. Kto wie, czy ona sama nie byłaby zdolna do krwawej zemsty...

- Ja muszę zobaczyć tego człowieka: on musi wiedzieć, że jest ktoś, kto go rozumie...

Twardowski widział, że powstrzymanie jej nie dało by żadnego skutku.

Zaraz po śniadaniu pani Czarnkowska wyjechała.

- Wiec to Grzegorz!... - rzekła Wanda, gdy zostali sami.

- Tak. On po to wymówił mi służbę. Najwidoczniej liczył, że zrobimy to razem.

Gdy się na mnie zawiódł, opuścił mnie i sam poszedł spełnić to, co uważał za swój obowiązek.

- Jestem o niego niespokojna, choć mnie zapewniłeś o jego bezpieczeństwie.

- Grzegorza nikt nie zna i nikt na trop jego nie wpadnie. Ci tylko wiedzieli o nim, którzy go użyli za narzędzie...

- Za narzędzie?...

- Tak, moje dziecko. Skandalem ze Zbychowem i z kopalniami złota Culmer przy pomocy swego synka skompromitował nie tylko siebie, ale i swych potężnych

przyjaciół za granicą. Stał się dla nich tak niedogodny, iż postanowili go się pozbyć. Służący Culmera, który był ważną u nich figurą i był mądrzejszy od swego pana, wiedział o Grzegorzu jeszcze z dawnych czasów i musiał teraz spostrzec, że szuka on zemsty. Powziął wtedy genialny plan: oni pozbyliby się niedogodnego człowieka i donieśliby władzom, kto go zabił. Pod sąd poszedłby Grzegorz i widocznie stojący za nim pan Zbigniew Twardowski, gdy właściwymi mordercami byli oni.

- Boże, jakie to okropne!... - szepnęła przerażona dziewczyna.

- Otóż było ich dwóch, którzy wiedzieli wszystko. Służący Culmera i pewien zagraniczny Żyd. Pierwszego usunął Grzegorz, który widocznie w ostatniej chwili przejrzał jego zamiary. Z owym zaś Żydem rozmówiłem się w Warszawie. Domyśliłem się całego ich planu, powiedziałem mu to i zagroziłem oskarżeniem o zabójstwo Culmera. Miało to ten skutek, że wyjechał nazajutrz za granicę. W interesie jedyne go człowieka, który by mógł wprowadzić policję na trop Grzegorza, leży dziś, ażeby sprawca zabójstwa nie był wykryty.

Panna Czarnkowska sięgnęła do torebki, wyjęła z niej, złożony wielokrotnie kawałek gazety, rozłożyła go i przebiegłszy po nim okiem, zaczęła czytać:

- Znakomity uczonec, prof. Paloma Oldenhuis....

- Dziewczyno! - zawołał Twardowski. - Jesteś niebezpieczna. Jak to dobrze, że ty będziesz moją żoną, nie zaś któregoś z moich przeciwników!

Wanda nie zmanifestowała swego triumfu, co byłaby niezawodnie zrobiła dawniej i co chciał wywołać Twardowski.

- Wiec tak się przedstawia historia zabójstwa Culmera. Dziękuję ci, że odstąpiłeś od swego zwyczaju i opowiedziałeś mi wszystko. Zrobiłeś to, ażeby uspokoić me obawy o Grzegorza... Ale, powiedz, czy można być spokojną i nie bać się, gdy się naokoło nas dzieją podobne rzeczy. Ty mnie ciągle uspokajałeś, a przecież teraz właśnie groziło ci straszne niebezpieczeństwo...

- Ale mi się nic nie stało i nic mi już nie grozi.

- Gdy jesteś ze mną, gdy słyszę twoje słowa, jestem spokojna. Ale gdy zostaję sama, znów opanowuje mnie niepokój i dręczą mnie okropne przecucia.

- Bo wtedy on zdobywa wpływ na ciebie.

- On? ...kto?...

- Ten dom.

- Dom?...

- Tak. To jest dom niepokoju i rozpacz, dom nieszczęścia.

- Mówisz to tak poważnie...

- Najpoważniej w świecie.

- Czy to nie przesąd?...

- Nie. Ten dom zbudował i w nim mieszkał jeden z najniebezpieczniejszych ludzi, trawiony nieustannym niepokojem, szarpany rozpaczą. On na nim swoje piętno wycisnął. To nie jest dom dla szukających spokoju i szczęścia... Czy nie widzisz sama, jak się zmieniłaś od czasu przyjazdu tutaj? Zaraz pierwszej nocy spać nie mogłaś, a rano przeraziłem się, gdy cię zobaczyłem.

- A ty?...

- Ja co innego. Ja się umiem takim wpływom opierać, choć także niecałkowicie.

- Wiec co będzie?...

- Teraz musimy tu przebywać ze względu na twoją matkę, która już nie może się od tego grobu oddalić. A gdy się pobierzemy, nie będziemy tu mieszkali...

Wanda patrzyła na niego w milczeniu. Na zmęczonej jej twarzy zjawił się jakiś dziwny wyraz.

- Zdaje mi się - rzekła - że i z tobą coś złego się dzieje...
Kazał postawić limuzynę i wyjechali okolicę.
Pani Czarnkowska wróciła dopiero przed wieczorem. Zamknęła się u siebie i zapowiedziała, że obiadu jeść nie będzie.
Twardowski z narzeczoną zjedli obiad sami i sami potem siedzieli w hallu przy herbacie. Chcąc oderwać jej myśl od spraw bieżących, bawił ją wykładem jednego z rozdziałów swej niedokończonej książki. Mówił o przenoszeniu się myśli od jednego człowieka do drugiego bez pomocy zmysłów...
Nagle usłyszeli w bibliotece krzyk, a po nim głuchy łoskot.
Twardowski się zerwał i skoczył ku drzwiom biblioteki. Za nim pobięła Wanda.
Otworzył drzwi w pokoju było ciemno. Odkręcił światło i zdrętwiał.
Na środku pokoju leżała na wznak z rozkrzyżowanymi rękoma pani Czarnkowska.
Była nieprzytomna.
- Mamusiu, co ci jest? - krzyknęła przerażona Wanda i rzuciła się ku leżącej.
Twardowski usunął łagodnie dziewczynę, przyłożył ucho do piersi leżącej kobiety.
- Nie bój się, dziecko - rzekł spokojnie. - To omdlenie, to zaraz przejdzie. - Zadzwoń na służbę, tam jest dzwonek.
Z pomocą Antoniego i pokojówki przenieśli biedną kobietę do jej pokoju. Tam Wanda z pokojówką rozebrały ją.
Twardowski wysłał samochód po doktora Zemłę.
Pani Czarnkowskiej wkrótce wróciła przytomność. Otworzyła oczy, patrzyła długo przed siebie, wreszcie spytała Wandę:
- Dlaczego ja tu jestem?... To było...
- Przynieśliśmy cię mamusiu, bo cię siły opuściły.
Nic nie odpowiedziała i znów patrzyła przed siebie, jakby na jakąś wizję.
Nie upłynęło wiele więcej nad pół godziny, kiedy przybył doktor. Widocznie nie stracił ani chwili.
Twardowski w kilku słowach powiedział mu, co się stało, zaprowadził go na górę i zostawił samego z panią Czarnkowską.
- Nie rozumiem, co mama mogła sama robić w bibliotece po ciemku - rzekła Wanda.
Twardowski nic nie odpowiedział. On rozumiał. To skutek rozmowy z Grzegorzem.
Powiedział jej, że duch stryja przebywa w bibliotece i poszła go powitać. Usłyszała jego kroki... Wrażenie było dla niej za silne...
Doktor siedział długo na górze. Gdy zeszedł do hallu, Wanda podała mu filiżankę herbaty i spytała o stan matki.
- Nic szczególnego nie ma - rzekł Zemła. - Tylko działanie serca słabie. Trzeba unikać silnych wstrząśnięć. Niech pani idzie do mamy, proszę o to.
Wanda pobięła na górę.
- Miedzy nami mówiąc - zwrócili się do Twardowskiego - jest źle. Jest to jeden z tych wypadków, w których chory żyć nie chce. Powiada, że musi odejść, bo jest potrzebna tam, bo tam ją wzywają... W tych wypadkach medycyna jest bezsilna.
Twardowski się zasępił. Myślał o Wandzie - za szybko na nią spada jeden cios za drugim.
- Nie można nic ściśle przewidzieć - mówił doktor. - Musicie być przygotowani na wszystko. Koniec może przyjść w ciągu kilku dni.

Zapowiedział, że rano przyjedzie i pożegnał się.
Po jego wyjeździe zeszła Wanda. Oczy miała zaczerwienione.
- Mamusia zasnęła - rzekła zdławionym przez łzy głosem - jest bardzo wyczerpana.
Kazała na rano wezwać księdza.
Twardowski starał się ją uspokoić i namawiał, żeby poszła spocząć.
- Nie, ja będę przy niej czuwała. I tak bym spać nic mogła. Ty idź, połóż się, bo musisz mieć siły za wszystkich.
Wcześniej rano przyjechał ksiądz Rybarzewski z Sakramentami. Siedział długo zamknięty z chorą.
Wanda zeszła na dół wymizerowana, blada z podkrążonymi oczami.
- Trzeba żebyś trochę się przespala - rzekł Twardowski. - Ty się, kochanie, zabijasz.
- Nie mogę; czuje, że nie zasnę. Czy doktor prędko przyjedzie?..
- Kazał przysłać po siebie o dziesiątej.
Siedzieli tak w oczekiwaniu, wymieniając czasami parę słów bez znaczenia.
Zjawiła się pokojówka: ksiądz prosi ich oboje do pokoju pani Czarnkowskiej.
Wanda spojrzała na Twardowskiego z niepokojem.
Weszli do pokoju. Ksiądz składał komże i stułę; pani Czarnkowska leżała bez ruchu z przymkniętymi oczami.
- Siadajcie - rzekł ksiądz i zwrócił się do Wandy:
- Mama wyraziła wolę, żebyście się pobrali za jej życia. Nie wiedząc dnia ani godziny pragnie, żeby to nastąpiło jak najrychlej tu w jej obecności.
Pani Czarnkowska z wysiłkiem uniosła głowę.
- Tak, nie odmówicie mi tego - rzekła ledwie dosłyszalnym głosem.
Z oczu Wandy popłynęły łzy. Uklękła przy łóżku i całowała bezwładnie zwieszająca się rękę matki.
- Jestem gotów każdej chwili - odezwał się Twardowski.
- Jadę zaraz do Warszawy - rzekł ksiądz - żeby jak najszybciej otrzymać dla was indult. Załatwi się to telegraficznie. A teraz dajmy pani spocząć, jest bardzo zmęczona.
Wyszli z Twardowskim. Wanda została przy łóżku matki.
- Niestety - mówił ksiądz po drodze - biedna kobieta długo nie pożyje bo żyć nie chce - dodał jakby słyszał słowa doktora. - Życzenie jej jest bardzo mądre, bo życie wasze, a zwłaszcza panny Czarnkowskiej, po śmierci matki byłoby bardzo utrudnione, gdybyście nie byli mężem i żoną. Trzeba się śpieszyć ze ślubem. Nie będziecie mieli wesela... - zakończył z westchnieniem.
Twardowski przyznał, że przytoczone przez proboszcza argumenty za natychmiastowym ślubem są słuszne, ale był przekonany, że motywy pani Czarnkowskiej były inne.
Ksiądz pojechał do Warszawy samochodem Czarnkowskich, żeby nie stracić dnia w swym przedsięwzięciu.
Wkrótce przybył doktor. Zastał chorą pogrążoną w śnie głębokim. Nie kazał jej budzić i odjechał natychmiast Zapowiedział przyjazd na wieczór.
Wanda ciągle siedziała przy matce.
Po południu pani Czarnkowska obudziła się i wezwała do siebie Twardowskiego.
Widocznie sen ją wzmocnił. Usiadła na łóżku i mówiła prawie bez wysiłku, acz urywanymi zdaniem.

- Mój drogi Zbigniewie, pozwól mi mówić do ciebie, jak do syna. Dziękuję ci, że się zgodziłeś na taki smutny ślub. Zrobicie to dla mnie. Ona jest moją siostrzenicą i przybraną córką, którą kocham jak rodziną. Tyś jego synowcem i właściwie także przybrany synem. Wasz ślub będzie, jak mój ślub z Alfredem. Alfred się będzie z niego cieszył...

Nabierała sił, a Twardowski mówił sobie, że takich właśnie motywów się domyślał.

- Ja tego ślubu dożyję, zrobię wysiłek i dożyję. Ale potem umrę. Posłuchaj więc. Pochowajcie mnie na tutejszym cmentarzu, obok niego i tak samo, jak jego. Cicho i skromnie. Pozwól, żeby ciało moje stało w twoim domu, w jego domu, w bibliotece i żeby stąd było wyniesione na cmentarz. Dobrze?..

- Wszystko, mamó, co każesz, będzie spełnione.

Wyciągnęła ku niemu ręce i pocałowała go w czoło.

- Jeszcze jedno. Wezwij do mnie Grzegorza. Muszę go pożegnać. On był taki wierny Alfredowi...

- Dobrze.

- Idź teraz i przyslij mi coś jeść. Muszę jeszcze żyć...

Doktor wieczorem stwierdził, że stan chorej znacznie się poprawił. .

Przy wsiadaniu do samochodu rzekł do Twardowskiego:

- Będzie żyła, dopóki będzie trwała chęć życia. .

Nazajutrz przed południem przyszedł Grzegorz. Wyglądał źle: przygarbił się i jakby przychudł. Nieśmiało się przywitał z niedawnym panem i poszedł do pani Czarnkowskiej...

Przez następne parę dni Twardowski nie wiedział, co z sobą zrobić. Wandę widywał tylko przez krótkie chwile: siedziała przy matce, a gdy ta jej kazała iść spać, robiła to z mniejszym lub większym skutkiem. Gdy spotykała się z nim przy stole, była smutna i małowólna. Prawie nic nie jadła i mizerniała coraz bardziej.

W domu panowała grobowa cisza. Służba chodziła na palcach i rozmawiała szeptem. Bał się od domu zbyt oddalać, wiedząc, że w każdej chwili może nastąpić kryzys. Próbował pracować, ale praca mu nie szła i jego nerwy już się wymykały spod kontroli. Rozwodził się nad wydarzeniami ubiegłych tygodni i zaczynał czarno patrzeć na życie...

Upokorzony, przyznawał się przed sobą, że ten dom ze swoją tragiczną atmosferą jest od niego silniejszy.

Wreszcie wrócił ksiądz Rybarzewski z pozwoleniem na ślub w kieszeni. Zajechał przed dom koło wieczora i udał się przede wszystkim do pani Czarnkowskiej. Wyszedłszy od niej, rzekł do czekających na niego na dole Twardowskiego i Wandy:

- Jutro przyjdźcie o ósmej do kościoła. Załatwię waszą spowiedź i odprawię mszę na waszą intencję. Po mszy podpiszemy akt ślubny i przyjedziemy tutaj na ślub. Świadkiem, jak pan mówił, ma być Zemła; trzeba go przywieźć na czas.

Nie dał się zatrzymać na obiedzie.

Przy wsiadaniu, obejrzawszy się, czy ktoś nie słyszy, rzekł cicho do Twardowskiego:

- Trzeba być przygotowanym na wszystko. Ona się trzyma tylko do waszego ślubu. Boje się, że potem rychło przyjdzie koniec.

Przygnębiony Twardowski wrócił do Wandy.

- Smutny będzie nasz ślub, moja już bliska żono - rzekł, całując ją w czoło.

- Mój najdroższy - odrzekła z jakąś bolesną rezygnacją - nie wyobrażam sobie już wesela. Marzyłam o nim wtedy, kiedy nie wiedziałam, co to jest życie. Po co robić wesół wstęp do tragedii...

Chciał jej coś odpowiedzieć, ale słów nie znalazł. Nie był w tej chwili usposobiony do pocieszania kogokolwiek.

Rano Twardowski kazał zaprząć konie do powozu i zszedł na dół.

Przybiegła do niego pokojówka pani.

- Panienska za chwile zejdzie. Prosi o samochód.

Zmienił zarządzenie, kazać zajechać Markowi.

Za chwile zbiegła po schodach Wanda.

- Jedźmy zaraz - rzekła z pospiechem.

W drodze powiedziała mu tylko:

- Prosiłam cię, żebyśmy jechali samochodem, bo się boje zostawić mamę samą na długo.

Traktowała ten ślub, jak coś drugorzędnego. Zajęta była matką.

Ksiądz już czekał. Widocznie widział niepokój i pospiech dziewczyny. Odbył spowiedź obojga krótko, poczym wyszedł z mszą. Podczas mszy przyjechał doktor Zemła.

Poszli po mszy i komunii do kancelarii parafialnej. Podpisali akt ślubny, który ksiądz wieczorem przygotował i wsiedli wszyscy czworo do samochodu.

Twardowski z respektem patrzył na księdza, jak sprawnie i szybko wszystko załatwiał.

Za kilka minut byli już w domu turowskim i udali się wszyscy do pokoju pani Czarnkowskiej.

Czekała na nich, siedząc na łóżku, z dziwnym, gorączkowym ogniem w oczach. Zaledwie zdołali się z nią przywitać, ksiądz już stał przed nimi w szatach obrzędowych. Kazał im uklęknąć. Wanda z nerwowym pospiechem powtarzana za nim słowa przysięgi, jakby jej chodziło tylko, żeby się to jak najprędzej skończyło.

Doktor, który obserwował chorą, nie spostrzegł się, kiedy ksiądz wezwał obecnych, ażeby zawsze i wszędzie świadczyli o małżeństwie tym prawnie zawartym i przez Kościół potwierdzonym.

Pani Czarnkowska pochyliła się nad Zbigniewem i Wandą, błogosławiąc im i szepnęła:

- Będę świadczyła przed Panem Bogiem i... przed nim.

Zemła rzekł do niej:

- Teraz nie będę pani męczył.

Dał znak wszystkim, żeby wyszli.

- Idźcie- rzekła Wanda - ja zostanę z mamą.

Ksiądz i doktor zeszli z Twardowskim na dół i złożyli mu życzenia w formie powściągliwej, podyktowanej przez smutną chwilę.

Ledwie zamienili parę zdań, gdy na schodach ukazała się zaalarmowana pokojówka.

- Proszę pana doktora...

Zemła nie czekając pobiegł na górę.

Gdy Twardowski wraz z księdzem pospieszyli za nim i weszli do pokoju chorej, ujrzeli Wandę, klęczącą przy łóżku, wpatrzoną w głowę matki, leżącą nieruchomo na poduszkach.

Doktor rzucił im spojrzenie, które zrozumieli.

Pani Czarnkowska nie żyła...

Rozdział XXXV

Ksiądz Rybarzewski dał radę Twardowskiemu, żeby się teraz zajął wyłącznie swoją żoną, która jego zdaniem bardzo potrzebowała opieki. Sam ofiarował się wyręczyć go w kłopotach związanych z pogrzebem.

Skomunikował się z przedsiębiorcą pogrzebowym w Warszawie, dał mu szczegółowe instrukcje i tegoż dnia przed wieczorem ciało zmarłej, zgodnie z jej wolą, wystawione zostano wśród świec i zieleni w przybranej kirem bibliotece.

Wanda doprowadzała Twardowskiego do rozpacz. Przebywała bądź w bibliotece

przy zmarłej, bądź zamykała się u siebie, bądź słuchała apatycznie tego, co jej mówił. Nic jej nie interesowało, nie odpowiadała, gdy zaczynał snuć plany na przyszłość. Miał uczucie, że stawszy się jego żoną wobec Kościoła i prawa, oddaliła się od niego, stała mu się bardziej obca, niż kiedykolwiek. Jedynymi objawami jej życia były odruchy nerwowe; drgała na najstabszy szelest, na najmniejsze poruszenie w pobliżu...

Twardowski, sam zdenerwowany, zaczął jej unikać. Widział, że spotkanie się z nią meczy ich oboje i zamiast zbliżać oddala od siebie.

Widział to ksiądz Rybarzewski i starał się być z nimi jak najwięcej. Wpadał w ciągu dnia, zapraszał się na wieczór, robił wszystko, żeby ich jak najmniej pozostawiać sam na sam ze sobą w tym ponurym domu, okrytym świeżą żałobą.

Twardowski wreszcie znalazł sobie zdajecie. Zawiadomił Wandę, że zaraz po pogrzebie wyjadą, ażeby ponad potrzebę nie spędzić w tym domu jednej nawet nocy. Poleciał pokojówce Wandy spakować rzeczy pani tak, żeby nie zwlekając, można było odjechać, sam zaś zabrał się do porządkowania swoich papierów i książek, które Antoni układał do kufrow. To nudne zajęcie było dla niego najlepszą w tej chwili rozrywką. W przeddzień pogrzebu już wszystkie jego kufry zostały odwiezione na kolej i wysłane do Warszawy.

Wieczorem tego dnia przyjechał ksiądz, przywożąc ze sobą Zemłę.

Zjedli we czworo skromny obiad, przy którym tylko ksiądz starał się rozmawiać, po czym Wanda pożegnała ich i poszła do siebie. Zostali w jadalnym pokoju, żeby być jak najdalej od biblioteki.

- Wiec historia biednego pana Alfreda Twardowskiego już się zakończyła - rzekł ksiądz. - Ten, który go prześladował i zniszczył mu życie, nie żyje. Nie żyje człowiek, który zabrał mu narzeczoną. Wreszcie i ona jutro spocznie obok niego. Księga zamknięta... Panie Zbigniewie, trzeba otworzyć teraz swoją. Całe pańskie życie już do pana należy. Ma pan żonę taką, że lepszej pan znaleźć nie mógł, ma pan młodość, siły, rozum - życie na pana czeka...

Twardowski spojrzał chmurnie.

- Historia mego stryja - rzekł - nie jest skończona - bo nic nigdy w życiu od razu się nie kończy. Ślady jego trwają tu, pod tym dachem. Czuję je sam i widzicie obaj, co się w tym domu zrobiło z mej narzeczonej...

- Żony - poprawił ksiądz.

- Niech będzie żony.

- Pan znów, zdaje się, wraca - wtrącił doktor - do przedmiotu owego wieczoru, kiedyśmy to pili w bibliotece.

- I kiedy doktor spotkał się ze zjawiskiem, którego przedtem nie znal...

- I którego dotychczas nie rozumiem - rzucił doktor.

Twardowski zadzwonił.

- Przynieś no, Antoni, tego węgryzyna.

- Dobra myśl - rzekł ksiądz - panu to dziś potrzebne.

- I wam się przyda, bo lepiej zrozumiecie to, co chce powiedzieć. Zresztą, po moim ślubie - mówił z goryczą - powinniście byli wypić zdrowie nasze, a przede wszystkim mej żony. Wtedy po ślubie nie zrobiliśmy tego, bo śmierć nam stanęła na drodze. Teraz ksiądz powiada, że trzeba zacząć życie, a więc na ten początek należy nam się od was toast. Szkoda, że tu nie ma mej żony, ale widzicie sami, że ona jeszcze nie jest do życia...

Antoni wniósł wino i nalał kieliszki. Ksiądz powstał.

- Niech Bóg wam raczy zapisać w waszej księdze tyle szczęścia, ile w tamtej było smutku i rozpacz.

Ucałował serdecznie Twardowskiego, a Zemła poszedł w jego ślady. Ten niezwykle toast weselny, pity w domu, w którym stała nie zamknięta jeszcze trumna, pograżył wszystkich trzech w smutne zamyślenie.

Po paru kieliszkach Twardowski naraz zrobił się rozmowny.

- Owego wieczoru w bibliotece - rzekł - czytałem na waszych twarzach strach, nie przed zjawiskiem, broń Boże, z którym się spotkaliście, ale przed tym, co usłyszycie ode mnie: Ksiądz się bał, żebym nie zaczął mówić o duszy ludzkiej herezji, przeciw którym on, ksiądz katolicki, musiałby się bronić; doktor zaś - żebym nie zaatakował jego ortodoksji naukowej. Nie bójcie się, ani jednemu, ani drugiemu nic ode mnie nie grozi... Tylko, na miłość boską, nie zamykajcie oczu, nie zatykajcie uszu, nie zaprzeczajcie faktowi...

Po chwili milczenia ciągnął dalej:

- Jesteśmy dumni, że odkryliśmy tyle postaci energii we wszechświecie i że wynaleźliśmy tyle sposobów jej zużytkowania dla siebie. Co prawda, zużytkujemy ją często dość niedołążnie, zapasy tej energii trwonimy niesłuchanie. Spalając na przykład węgiel, jakże znikomą cząstkę tego ciepła zaprzęgamy do pracy, gdy resztę marnotrawimy.. Otóż jest jedna postać energii, którą najwięcej się posługujemy, a którą najmniej znamy z możliwości jej, ze sposobów jej działania i z jej potęgi najmniej zdajemy sobie sprawy i nie tylko ja trwonimy, ale działanie jej zwracamy nieświadomie przeciw samym sobie. To energia nerwów ludzkich. Czego by ludzie nie dokonali, gdyby umieli tą energią gospodarować...

- Oto patrzcie, mój biedny stryj. To był człowiek z bardzo wysokim ustrojem nerwowym i z niezwykłą, zawartą w nim siłą. Zdawało się, że ma wszystkie dane do zużytkowania tej siły w życiu... Tymczasem dwa błędy, przez niego popełnione wystarczyły, żeby ta olbrzymia, tkwiąca w nim siła przestała pracować twórczo, dobroczynnie, a natomiast zaczęła niszczyć jego samego...

- O jednym błędzie wiem - przerwał ksiądz.

- Ma pan niezawodnie na myśli jego wstąpienie w młodych latach do grabarzy. Dla marnego, podrzędnego celu, dla poparcia w karierze, wszedł na oślep do organizacji, której nie znał, nie zapytawszy nawet, czego ta żądać będzie od niego w zamian za usługi, które mu odda. Nie wiedział, jakim celom ta organizacja służy, ani kto nią rządzi...

- Ale z nią zerwał - rzekł ksiądz.

- I tu popełnił drugi błąd. Gdy się przekonał, że nie może im dać tego, czego od niego żądają, że sumienie mu na to nie pozwala, zerwał z nimi, co było równoznaczne z wypowiedzeniem walki. Nie rozumiał i w tym tkwił jego błąd, że z organizacją nie można walczyć w pojedynkę. Gdy się taką walkę wypowiada, trzeba

szeregom nieprzyjaciela przeciwstawić swoje szeregi, jego broni swoją broń. On tego nie chciał i nie umiał zrobić i zwyciężyli go, nie poddał się, ale zginął...

Ksiądz smutnie kiwał głową.

- W wieku – mówił Twardowski – w którym człowiek dochodzi do najwyższego napięcia sił, został wyrzucony poza nawias życia. Energia, która w nim tkwiła, nie przestawała się wyładowywać. Ale na co szła?.. Na tragiczne przeżycia wewnętrzne, tak potężne, że aż na ścianach tego domu wycisnęły ślady. Tak, panowie, ta postać energii, która tkwi w naszym systemie nerwowym, nawet na martwą materię umie działać. To, co mówię, panie doktorze, nie jest przeciwne nauce, tylko dotyczy przedmiotu nie dość zbadanego. Ja właśnie mam odwagę badać te tajemnicze zjawiska od których urzędowa nauka ucieka tchórzliwie, pozostawiając nadużywanie ich szarlatanom i zbrodniarzom... Energia tego człowieka, odwrócona od pracy twórczej, budującej, poszła w kierunku niszczyielskim. Zniszczyła najpierw jego samego. Potem ofiarą jej padł Culmer...

- Któż zabił Culmera? - zapytał doktor.

- Mój stryj.

- Niech pan nie żartuje...

- Mówię na serio. Gdybym był sędzią i przede mną postawiono człowieka, który swymi rękoma zabił Culmera, zawyrokowałbym, że był on tylko narzędziem, że tymi rękoma, nie stworzonymi do niszczenia życia ludzkiego, poruszała energia mego zmarłego stryja... Podjąłbym się dowieść, że pośrednio i Czarnkowski padł jej ofiarą; nie mam zaś żadnej wątpliwości, gdy chodzi o kobietę, która tam leży w trumnie...

- Ale już koniec! - zawołał ksiądz. - Już więcej ofiar nie będzie. Jak powiedziałem. ta nieszczęsna księga jest już zamknięta...

- Nie wiem...

- Jak to, cóż jeszcze stać się może? - w głosie księdza drgała trwoga.

- Nie wiem, powiadam. Tymczasem patrzę na dziewczynę, z którą mi, księżę, ślub dałeś i widzę, jak w moich oczach ginie...

Ksiądz spojrział na niego przerażony.

- Panie Zbigniewie, ma pan słuszność. Uciekajcie czym prędzej z tego domu, bo oboje w nim zginiecie.

Wstał, podniósł ostatni kieliszek.

- Za wasze nowe życie! Idźcie w nie z wiarą, Bóg wam pobłogosławi!

Na tym toaście skończyła się uniezwykła biesiada weselna Zbigniewa Twardowskiego.

Rozdział XXXVI

Nazajutrz rano odbyło się w kościele parafialnym żałobne nabożeństwo, na którym był obecny Twardowski z żoną, doktor Zemła, służba i niewielka garstka ludzi ze wsi. Pogrzeb, zgodnie z życzeniem zmarłej wyznaczono na późne popołudnie, na tę sama porę, w której pochowano Alfreda Twardowskiego.

Wanda ciągle była odrętwiała: nie można z nią było kilku słów zamienić.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi z domu turowskiego wyruszył prowadzony przez księdza Rybarzewskiego kondukt pogrzebowy, posuwając się wolno przez las i przez pola ku cmentarzykowi parafialnemu.

Złożono trumnę do dołu, wykopanego obok mogiły dziedzica Turowa i zaczęto ją zasypywać. Ksiądz zaintonował "Salve Regina"...

Uwaga Twardowskiego cała była skupiona na Wandzie, którą chwiejąca się na nogach, podtrzymywał...

Naraz spostrzegł poruszenie w niewielkim, zgromadzonym dokoła grobu tłumie. Ku memu przeciskał się... Grzegorz.

Dawny służący stanął za jego plecami i szepnął mu do ucha...

- Dom się pali... Podpalony.

Twardowski spojrzał w stronę Turowa. Nad lasem wzbijał się ku niebu potężny, czarny słup dymu.

- W bibliotece - szeptał dalej Grzegorz - jest skrzynka z papierami. Muszę jechać samochodem, bo nie zdążę.

- Jedź - rzekł krótko Twardowski.

Ksiądz, który stał zwrócony twarzą do lasu turowskiego, widział również dym na tle nieba; kończył jednak żałobną pieśń tym samym równym głosem, po czym odmówił wspólnie z obecnymi „Wieczny odpoczynek”.. Wtedy dopiero zaczął szybko zdejmować z siebie kapce, stulę i komżę. Skinał na Twardowskiego.

- Zabierzcie mnie ze sobą. Trzeba się śpieszyć do Turowa.

Wanda stała nieruchoma, patrząc w ziemię.

- Dom się pali - rzekł do niej Twardowski.

Spojrzała na niego obojętnym, tępym wzrokiem.

- Dom?.. który dom?...

- Turowski.

Wskazał jej słup dymu nad lasem. Patrzyła, jakby nic nie rozumiejąc.

- Dom mego stryja.

Dopiero te słowa coś w niej poruszyły. Zaczęła mówić do siebie ledwie dosłyszalnym głosem:

- Dom niepokoju i rozpaczy... Dom nieszczęścia...

Wpatrywała się suchymi oczami w ponury widok.

- Jedziemy zaraz – rzekł Twardowski.

Wziął ją pod rękę i razem z księdzem ruszyli ku wyjściu z cmentarza.

Cmentarz w jednej chwili opustoszał, na drodze widać było sznur ludzi, biegnących w kierunku Turowa.

W tej chwili stanął przed cmentarzem samochód, który zawiózłszy Grzegorza i towarzyszących mu ludzi, wracał teraz po państwa.

Gdy ruszyli, Twardowski zwrócił się do księdza:

- Grzegorz pojechał ratować skrzynkę z papierami. Czy ksiądz coś wiedział o nich?

- Wiedziałem o ich istnieniu - odrzekł proboszcz. - Ale jedynie Grzegorz wiedział, gdzie są schowane. W pół roku po śmierci pana miał poleczone przez niego wydobyć z ukrycia i postąpić zgodnie z moją decyzją: albo oddać je panu, panie Zbigniewie, albo złożyć je w jednej z wielkich bibliotek prywatnych, której kustosz zobowiązał się je ustrzec od niebezpiecznych oczu i rak.

Słońce już zaszło i zmrok zapadał. Znalazłszy się za lasem, ujrzeli wspaniałą w swej grozie widok domu turowskiego na wzgórzu, całego w płomieniach.

Wanda, niema, patrzyła szeroko otwartymi oczami na roztaczający się przed nią obraz.

Spojrzała na męża.

- Jaka to potężna rzecz ogień, gdy jest tak wielki! Nigdy nie widziałam pożaru. Twardowski odczuł w tych słowach pierwszą u niej od wielu dni zdrową refleksję żywej istoty.

- Tak. odrzekł, biorąc ją za rękę - to piękne w swej grozie... I to właściwe zakończenie wielkiej tragedii.

Chciała coś powiedzieć, ale samochód zatrzymał się przed bramą Turowskiego domu. Otworzył im drzwiczki Antoni, który czekał z miną przerażoną i zrozpaczoną zarazem.

- Dom podpalony - mówił tonem winowajcy. - Podpalacz musiał się znajdować między ludźmi z zakładu pogrzebowego. Oni tu jeszcze zostali z godzinę po eksportacji, uprzątały swoje rzeczy, a potem odjechali ciężarówką do Warszawy. Pożar wybuchł zaraz po ich odejściu.

Twardowski słuchał relacji i pewne rzeczy w myśli zestawiał. Mówił sobie, że profesor Paloma Oldenhuis musiał przed wyjazdem zostawić komu należało instrukcje, jak załatwić sprawę niedogodnych dokumentów. Instrukcje ściśle i umiejętnie wykonano.

Weszli do parku i zaczęli się zbliżać do ognia.

Przed palącym się domem, w odległości, na jaką pożar pozwalał, stała gromada ludzi bezczynnych, nie umiejących się na nic przydać, przeszkadzających tylko akcji ratunkowej. W mniej zajętych przez płomień częściach domu co chwilę otwierało się jakieś okno i wylatywały z niego meble, obrazy, zwinięte dywany...

Podbiegali ludzie i odnosili to wszystko za dom w głąb parku, stratowanego już całkiem po wiosennych porządkach. Każde wszakże nowo otwarte okno wywoływało nowy prąd powietrza, za którym szedł ogień, zmuszając domowników do ucieczki.

Twardowski szukał okiem Grzegorza, ale nigdzie nie było go widać.

Zbliżył się do nich rządcą folwarku, który widocznie kierował akcją ratowniczą i zimnej krwi nie stracił.

- O ratowaniu domu - rzekł - nie było mowy. Postarałem się tylko nie dopuścić ognia do stajen i wozowni i kazałem zasypać schody do piwnicy, żeby tam się żar nie dostał. Zresztą, nic jej nie grozi, jest głęboka i ma grube sklepienie. Ocaliło się trochę sprzętów, ale nie najważniejszych. Z biblioteki nic się nie dało wynieść, ogień stamtąd się zaczął.

- Gdzie jest Grzegorz? - zapytał Twardowski zaniepokojony.

Rządcą stał przez chwilę z otwartymi ustami.

- Grzegorz?.. Wziął ludzi do wynoszenia rzeczy z domu. Ale już dom opuścili... Biegnę go szukać... Niech państwo przejdą na drugą stronę domu, tam są tylko wyniesione rzeczy i nasi ludzie, którzy ich pilnują.

Na trawniku leżały zwalone w beładzie na kupę przeróżne sprzęty, przy nich zaś stali dwaj ludzie z folwarku. Obok leżał na ziemi Piorun, skulony, patrząc wystraszonymi oczyma na szalejący żywioł.

Na widok Twardowskiego podniósł się i podbiegł do niego bez zwykłej werwy ze skomleniem, jakby prosząc o współczucie.

Ludzie, strzegący sprzętów, ustawili na trawniku parę foteli; w jednym z nich Twardowski posadził Wandę. Piorun podszedł do niej, położył jej łeb na kolanach i patrzył smutno w oczy.

Głaskała go machinalnie, wpatrzona w ogień, od którego oczu oderwać nie mogła. Twardowski, który ją ciągle z niepokojem obserwował, spostrzegł, że dotychczasowe odrętwienie zaczyna ją powoli opuszczać. Łód, w który się zamieniła, jakby tajał pod wpływem ognia. Popatrzyła na Pioruna, wzięła jego łeb w obie ręce i zaczęła do niego mówić:

- Biedny Piorun! Taki smutny, taki przerażony... Straszne rzeczy się dzieją, prawda? ...Twój dom ginie... Ale twój pan jest i weźmie cię z sobą...

Twardowski cieszył się, że go sobie choć w rozmowie z psem przypomniała. Odszedł go na chwile niepokój o Grzegorza.

Naraz z tłumu, stojącego po drugiej stronie domu, rozległ się krzyk.

Twardowski skoczył.

- Nie ruszajcie się stąd - rzekł do Wandy i księdza i pobiegł w kierunku domu. Na jego spotkanie biegł szofer Marek. Stał przed panem biały jak ściana.

- Co się stało? - zapytał Twardowski.

- Grzegorz zginął w ogniu...

- Skąd wiesz?

- Ludzie widzieli, jak okno biblioteki wywaliło się i stanął w nim człowiek, cały w płomieniach; trzymał skrzynkę w reku... Potem znikł... Głupie baby zagadały, że to nieboszczyk pan się pokazał... To był Grzegorz!

Twardowski odruchem chciał biec do płonącego domu. Wtem rozległ się straszny łoskot i z domu buchnął w górę słup iskier.

- Pułap się zawalił - jęknął Marek. - Już koniec...

Zaległa grobowa cisza.

Wśród niej rozległo się ponure wycie.

Twardowski obrócił się: na trawniku poza nim przysiadł Piorun, podniósł mordę ku górze i wył... Raz, drugi, trzeci...

- To jego pieśń pogrzebowa dla Grzegorza - rzekł Twardowski zdławionym głosem.

Nie chciał iść do Wandy z wieścią o nowej śmierci. Wziął szofera i poszedł szukać rządcy.

-Wszyscy ludzie - mówił rządcy - którzy ratowali sprzęty, uciekli z domu. Tylko jego nie widzieli. Musiał zostać. Dlaczego poszedł do biblioteki, która już cała była w ogniu?... Chodziło mu widać, biedakowi, o tę skrzynkę, która trzymał w reku, gdy go ludzie widzieli. Straszna śmiercią zginął. Dobry i dzielny człowiek...

Twardowski wyrzucał sobie, że pozwolił jechać Grzegorzowi. Trzeba go było zatrzymać i jechać razem. Byłby go nie puścił do biblioteki...

Zgnębiony wracał do Wandy, bojąc się, że może być niespokojna.

Ksiądz, spojrzawszy na jego zmienioną twarz, zapytał:

- Co, panie Zbigniewie?

- Nic, wszystko się już kończy.

Wanda skierowała na niego wzrok.

-Nie oszczędzaj mnie - rzekła. - Ja wiem, co się stało. Grzegorz zginął w płomieniach?...

Twardowski ruchem głowy potwierdził.

Ksiądz Rybarzewski wstał, odkrył głowę, przeżegnał się i odszedł w głąb parku.

Wanda zasłoniła sobie twarz dłońmi i łkała.

- Nareszcie płacze - rzekł w duchu Twardowski -jest ocalona.

W tej chwili dopiero przyznał się przed sobą do prześladowanej go obawy, że dziewczyna oszaleje.

Płakała długo. Wreszcie otarła twarz i podniosła na niego oczy. Z oczu tych patrzyła niewypowiedziana tkliwość. Wyciągnęła do niego ręce, które uchwycił, pomagając jej wstać.

- Tyś mi jeden został na świecie - rzekła.

- Chodzimy stąd...

- Trzeba się pożegnać z księdzem - rzekł Twardowski. -Poszukajmy go.
Skierował się w głąb parku.
- Kto ci powiedział, że Grzegorz zginął? - zapytał.
- Piorun. Zawył tak żałośnie...
- Tak, to mogło być tylko po stracie Grzegorza, albo...
- Nie kończ - chwyciła go za rękę. - Ty zostałeś, ciebie mam i już ciebie nie stracę. Ani Culmer, ani ten straszny dom już nikogo nie zabije. Biedny Grzegorz...
W czerwonym blasku, oświetlającym część parku, spostrzegli księdza, klęczącego z głową pochyloną ku ziemi. Modlił się.
Widocznie usłyszał ich kroki, bo wstał, nakrył głowę i zbliżył się ku nim.
- Bóg mu okaże miłosierdzie - rzekł. - To była dusza surowa, ale dobra. Zabił nikczemnika dla swego pana i dla niego sam straszną śmiercią zginął... Miał pan słuszność, panie Zbigniewie, że księga jeszcze nie zamknięta. Ale teraz?...
- Teraz tak, bo ten dom już nie istnieje. Śmierć domu zamknęła księgę zmarłych.
- Więc dla nich - rzekł ksiądz - już tylko mamy obowiązek modlitwy za wieczny spokój ich dusz. Trzeba myśleć o żywych i o obowiązkach swojego życia. Ono się teraz dla was zaczyna. Odjeżdżacie pewnie zaraz?.. Bywajcie zdrowi. Ja tu jeszcze zostanę.
Podał rękę Wandzie i spłoszył się niesłychanie, gdy ta rzuciła mu się na szyję i w twarz go pocałowała.
Twardowski uściskał się z nim gorąco.
- Odwiedzę was wkrótce - rzekł ksiądz - i zdam relacje z tego, co się stało.
Dokąd jedziecie?
Twardowski spojrzał na żonę.
- Do Zbychowa, czy do waszego mieszkania w Warszawie? - zapytał.
- Do ciebie - odparła bez wahania.
- Ależ ja mieszkam po kawalersku.
- Tam, gdzie ty mieszkasz i dla twej żony miejsce się znajdzie.
Ksiądz uśmiechnął się zadowolony.
Za odchodzącymi zrobił znak krzyża. Potem zawołał:
- A nie zapomnijcie zabrać Pioruna!

Koniec.
